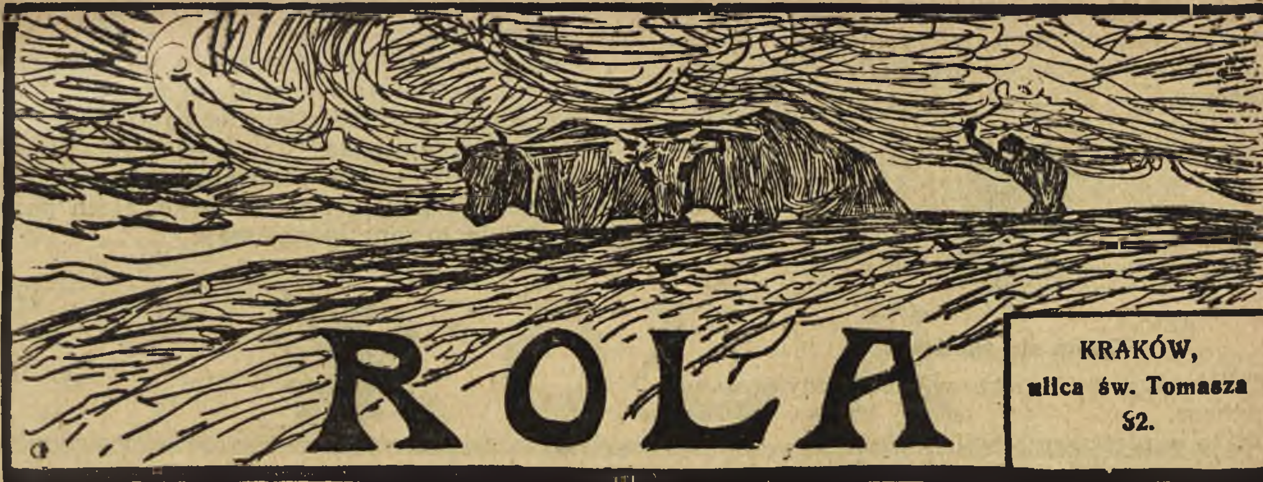
Numer 18. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 29 Kwietnia 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Prosimy o wyraźne pisanie adresów i podawanie także ostatniej poczty.

Stare przysłowie.

Pomódl się raz, gdy udajesz się na wojnę; dwa razy, gdy wsiadasz na okręt; lecz pomódl się trzy razy i to gorąco, zanim staniesz przed ołtarzem na ślubnym kobiercu...



W tem się zgadzali.

— Badało mnie kilku lekarzy, lecz każdy postawił inną djagnozę.

— Jakto w niczem nie byli zgodni?

— Owszem, zgodnie brali sobie po 20 złotych.



W pociągu.

— Proszę pani, dlaczego to dziecko tak płacze? Czyżby miało jakąś zaraźliwą chorobę?

— Pan byłbyś szczęśliwy, gdybyś jego chorobę miał! — odpowiada matka.

— Dostaje właśnie ząbki.

Do apteki przychodzi jakiś człowiek i prosi o ziółka na przeczyszczenie. Na drugi dzień wraca jednak rozżalony.

— Nic nie skutkowało, proszę o coś mocniejszego.

Na trzeci dzień powtarza się to samo.

Aptekarza to zirytowało, więc pyta:

— A czem pan jesteś?

— Urzędnikiem 12-tej kategorji.

— No, to masz pan tu złotówkę, niech pan najprzód coś zje, to zaraz pana ruszy.



Posłuchali.

Pewien ksiądz na wsi głosił z ambony, że książki, które robią zamieszanie w głowie i psują serca, należy złożyć u niego do zniszczenia.

Na drugi dzień chłopi przynieśli do księdza książeczki podatkowe...

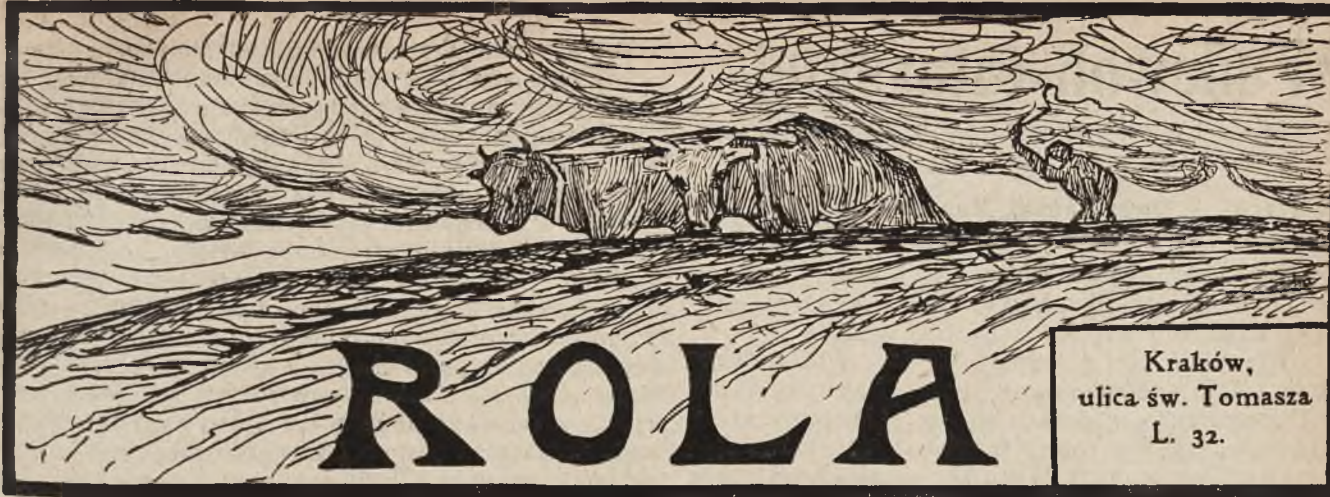


Ważny powód.

— Kazek: czemu się nie żenisz?

—Bo się obawiam przeludnienia w Polsce.

Numer 18. XI. Rok Kraków, dnia 29 Kwietnia 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Życie to sen.

Czemże jest to życie nasze, jak nie snem, jak nie cudowną baśnią z tysiąca i jednej nocy? Są w życiu tem kwiaty, jak lilje wonne, jak tulipany barwne, jak róże krasne. Są zaczarowane marzenia by zamki nigdy niezdobyte! Są uludne promienie słońca, ale są i łzy, palące jak ogień, piekące jak rozpalone żelazo. Wśród kwiatów krasnych życia naszego niebrak również i kolców, które ranić a nawet zabijać potrafią.

Życie mija, jak sen! Snuje ono się, jak tęczowa baśń lotem błyskawicy. Jeszcze nie zdołaliśmy pochwycić wątku naszej radości, jeszcze nie zdążyliśmy zrozumieć ogromu szczęścia naszego, gdy już to wszystko mija bezpowrotnie, jakby jakaś złuda nieuchwytna, by ustąpić miejsca łzom i boleści.

Bo życie to sen i płynie, jak sen!

Lecz kres wszystkiemu przyjść musi. I ze snu — życia przebudzić się trzeba, a przebudzić nazawsze...

Życie jest snem, ale nie dla wszystkich jednakowym. Dla jednych płynie ono by tęczowa baśń wśród radości i wesela, dla drugich podobne jest do okrętu rzucanego burzą po falach łez i boleści. Ale gdyby to życie było, nie wiem jak przykre i twarde, to przecież nie przemija ono nigdy bez barwnych kwiatów szczęścia, bez zaczarowanych królewien-marzeń, bez celów i pożądań, które dreszcz rozkoszy przynoszą. Gdy rzucimy okiem w minione dni życia naszego, odgrzebiemy tam w pyle zapomnienia dni jasne, chwile tak błogie, że na samo ich wspomnienie serce żywiej uderzać zaczyna, uśmiech wykwita na licach, a po całem ciele błogość i zadowolenie się rolewa. I choćby życie nasze wydawało się nam jak noc czarne, to jedno wspomnienie dawnych chwil radosnych w dzień biały rozjaśnić je może.

I naodwrót z jasnych dni teraźniejszości ciemną noc uczynić można, jeżeli z przeszłości swej zacznie się odgrzebywać i wybierać tylko czarne chwile. Blask życia obecnego można wspomnieniami dni przykrych zaciemnić i w noc ponurą przemienić. Ale kto na pamięć swoją będzie przywodził uśmiechy i błyskawice szczęścia, to szarzyznę życiową umili, ukwieci, rozjaśni ją i uczyni miłą a ponętną.

Życe to sen, to baśń, tęczowa baśń, przepiękna, zaczarowana baśń! Ale odnosić nam się do niej trzeba nie z uprzedzeniem, patrzyć na nią nie przez czarne okulary, ale z wiarą i przeświadczeniem, że to, co przebywamy, na co patrzymy, to piękne jest i wzniosłe!

Wszak i z najpiękniejszej księgi gdybyśmy powyrywali tylko pojedyńcze słowa, mogilbyśmy utworzyć z nich coś równie strasznego, jak piekło samo. Ale i z najstraszniejszej księgi zdołalibyśmy przecież wybrać pewien zasób słów, z których możnaby utworzyć wspaniały hymn niebiański.

Życie to baśń, cudowna baśń, zaczarowany sen z tysiąca i jednej nocy, ale tylko wówczas, gdy z baśni tej wyławia się tylko uśmiechy szczęścia i błyski radości, a nie łzy i rozpacze; gdy się odnawia pragnienia i marzenia napełniające radością i weselem, ale nie chwile niosące troskę i ból. Jasne zdarzenia rozświetlą ciemne dni naszego życia, opromienią je i uczynią dniami szczęścia i zadowolenia.

Życie to sen, ale jakże krótkotrwały! Dopiero młodość, szczęście i marzenia, dopiero zamiary, cele i meta życia wytknięte, rwanie się ku gwiazdom i słońcu, a już przychodzi starość, włos bieleje, twarz marszczy się i kres nadchodzić się zdaje. Lecz nie, to jeszcze nie koniec! Baśń trwa dalej, następuje odnowa marzeń i rwania się ku górze, póki prawdziwe przebudzenie się nie nastąpi... śmierć!!

W niewoli tatarskiej.

Powieść z XVI wieku osnuta na tle historycznem

IX.

Bakczyseraj. — Dwór hański. Mengli Girej. — Kto się nudzić zaczyna?

— Ciekawym też — odezwał się Jurek — jaka to może być stolica takiego barbarzyńcy? To chyba szopa z gałęzi sklecona?

— Ale gdzie tam — odparł Janek. — Tatarzy na Krymie wcale niepodobni do tych, jakimi dawniej byli. Han mieszka w pałacu z kamienia, marmurem ozdobionym, meczety tam błyszczą od złota; rozmaite przyprawy i korzenie ze Wschodu sprowadzają sobie carzyki tatarscy i naśladują, jak mogą, sułtana ze Stambułu, który nad nimi ma zwierzchnictwo. Kiedy han pojedzie do Carogrodu, to mu nawet wolno siedzieć w przytomności sułtana i pić z nim kawę, a w mieście przyjmują go i witają, jakby prawdziwego monarchę. A co podarków mu naznoszą, to strach!

Jużto na Wschodzie taki zwyczaj, że bez podarunku ani przystępuj do kogo. I tak lud znosi upominki urzędnikom i władzom, sułtan rozdaje podwładnym i znów od nich bierze. Tatarzy, co się niby to cywilizują na sposób turecki, przyjęli od Turków te zwyczaje. Han tatarski ma znaczny dochód, bierze bowiem różne cła od towarów na półwysep przywożonych, podatki rozmaite, jak „charadż“ (pogłówne), „gieszyd“ (drogowe) i inne. A jakie sobie tytuły nadaje!... Zowie się cesarzem tatarskim, czerkieskim i dagestańskim; używa też pieczęci ze swojem imieniem i herbem urzędowym „tamga“. Przywileje od hana dawane zowią się tam „jarłyki“.

— A jakże wygląda pani hanowa, czy hanica? — pytał żartobliwie Juraś.

— Jest ich tam bardzo dużo, bo han ma żon kilkadziesiąt czasami, niewolnic z Grecji i Czerkiesji. Dzieci hańskie wszystkie noszą tytuł sułtanów i sułtanek, a mieszkają w pięknych dworach. Córki dostają duży posag. Taką właśnie sułtanką była żona mego Edygibeya, najstarsza, a miał ich ten poganin co najmniej z piętnaście.

Kiedy o zachodzie słońca wjeżdżałem z moim taborem do Bakczysaraju, wspaniale z daleka przedstawiało się to miasto, pod górą leżące, a rzeka Czurakgu jak gdyby się paliła od złocisto-czerwonych promieni. Zajechaliśmy do gospody, którą był wskazał Edyga-bey, a ludzie wygodne znaleźli pomieszczenie, równie jak wielbłądy. Nazajutrz zaraz słałem podarki wezyrowi i innym urzędnikom hańskiego dworu, a były to bursztynowe cybuchy, futra piękne, puzderka misternie rzezane ze srebra i perłowej konchy, albo puchary złociste. Poznałem tam niejedno z naszej ojczyzny, w wielokrotnych wyprawach na Polskę złupione i pamiętam jeszcze piękny płaszcz sobolowy, z plamą krwi na boku, którą znać było na purpurowym adamaszku. Były i naczynia kościelne i cerkiewne, a mnie się zdawało, że ręce sobie plamię, jak gdybym się przyczyniał do tej bezecnej grabieży, i pilno mi było wylecieć ptakiem z tej pogańskiej krainy, daleko, daleko, do swoich!

Tymczasem po trzech dniach pozwolono mi się stawić na dworze hańskim, i znów nabrałem podarków co najkosztowniejszych, które za mną dźwigał Leszek, przybrany w niebieski, srebrem lamowany kaftan. Podobał się ten strój chłopczynie i musiałem mu długo tłumaczyć, jaki to wstyd dla nas, synów polskiej ziemi, przebierać się, jak niewierni poganie.

Han siedział na kobiercu, a wokoło stał cały dwór jego, prócz muftego, czyli głowy duchowieństwa, który siedział niedaleko hana; byli tam: koniuszy hański, sędzia najwyższy, podskarbi, łowczy, marszałek, sekretarz dywanu, czyli rady wielkiej i inni. Musiałem znów nosem dotknąć ziemi i złożyć moje podarki. Sam han do mnie przemówił, pytając o Edygę. Odrzekłem słów kilka, poczem mnie wprowadzono do izby marszałka, gdzie podano kawę i słodkie konfitury rozmaite, oraz wręczono mi futro piękne dar od hana. Marszałek pytał się, skąd jestem, bo po rysach widział, żem nie Tatar i powiedział, że mogę znaleźć służbę na dworze hańskim. Pierwszy raz byłem zmuszony zataić, że jestem chrześcijaninem, żeby nie zaszkodzić sprawie Edygi-beya, ale ten poniewolny fałsz ciężył mi srodze na sumieniu i obiecałem sobie zań odpokutować potem.

— Czy to prawda — pytał Juraś — co mówią o Mengli Gireju, że strasznie ma być mądry?

— Dzielny to i potężny władca, a historję jego opowiadał mi właśnie sekretarz dywanu, dlatego ją tu pokrótce powtórzyć mogę. Azi Girej, podobno wnuk Tochtamysza, urodził się w Trokach na Litwie, w niewoli Witoldowej i za wsparciem tego księcia, dostał się na tron krymski; zawsze też okazywał się wiernym sprzymierzeńcem Litwy, bił Mongołów, z za Wołgi się pojawiających. Ten to Azi Girej był prawdziwym założycielem państwa i potęgi Krymu.

Umierając (około 1470 r.) zostawił sześciu synów, ale najdzielniejszy z nich, Mengli Girej, powypędzał braci i sam został władcą. Na biedę naszą, jeden z tych braci, najstarszy, szukał schronienia w naszej Rzeczypospolitej, odtąd też Mengli Girej związał się przymierzem nie z nami, lecz z księciem Moskwy. Dużo przeszedł rozmaitych kolei, to wypędzony z tronu, to znów powracając, aż nareszcie poszukał wsparcia w Carogrodzie i poddał się pod zwierzchnictwo sułtana, czyli padyszacha tureckiego.

Teraz już sułtan ma prawo wybierać hana dla Krymu, byle z rodziny Girejów, i niby uważa się za najwyższego władcę nad Tatarami; ale prawdę powiedziawszy, to się go Mengli Girej wcale nie lęka i nasłuchałem się niemało, jak sobie umie radzić w Carogrodzie. Potrafi on usunąć niedogodnego sobie wezyra sułtańskiego i wszystkiego dokaże, czego zechce. Niby to on niema prawa iść na wojnę bez pozwolenia Turcji, ale czy tego słucha? Gdzież tam! Najwięcej to odczuwa ojczyzna nasza, chociaż wiadomo, że sułtan Soliman wielce miłościwego króla naszego poważa i pokój z nim zachować pragnie. Ale co ja tam prawię, a prawię o Tatarach, o Girejach, aż wszyscy pozasypiają.

— Jużto zasnąć nie wypada — odezwała się figlarna Halka — ale wolelibyście, panie braciszku, o sobie co powiedzieć, niż o tych seraskierach i muftych, czy jak ich tam zowiecie!

— A jam ciekaw tego wszystkiego — mówił Juraś — może da Bóg niezadługo pójdę bić Tatary, to będę wyszukiwał samych Mirzów, żeby im głowy rozpłatać, niech nie udają szlachciców, bo są to bisurmanie, którzy ludzi naszych jak bydło w niewolę pędzą!

X.

Nowe sidła na Janka zastawiają. — Amina. — Koniec poselstwa. — Powrót. — Żegluga.

— Nie chcąc już byt długo przeciągać opowiadania — mówił Janek — od razu powiedzieć mogę, że mi się sprawa na dworze hańskim udała nadspodzie-

wanie i za mojem pośrednictwem Edyga dostał urząd Nuredyna, którego tak bardzo pożądał. Nim jednak wyruszyłem w drogę z powrotem, jeszcze jedna pokusa stanęła przede mną. Jednego razu, siedziałem właśnie u sekretarza dywanu Timura, który mi wydać miał jarłyk czyli przywilej od hana dla Edygi-beya z tuchrą czyli monogramem, splecionym sztucznie z wyrazów na wierzchu. Siedzieliśmy obaj na kobiercu, nogi podkurczywszy i kawę popijając, a fajki kurząc.

— Ależ mi dziwno pomyśleć — odezwała się pani Bohowitynowa — żeś ty, mój synu, z cybuchem i w zawoju, niby pohańca udawał. Bogu dzięki niech będą, że ci serce zacne i nieskalane zostawili, ale wolałabym cię widzieć w owym lochu więziennym, gdzie cię dawniej trzymali, niż tam, za pan brat z tymi bisurmanami.

— I mnie, mateńko, strasznie obco i przykro było między nimi, ale kiedym przypomniał sobie, że tak się przymusiwszy czas krótki, otrzymam wolność i do ojczyzny powrócę, to wszystko znieść lżej było, nawet ten ohydny przymus i fałsz niejako, którym się usta moje plamiły. Do meczetu jednak nie poszedłem ani razu, a w jakieś wielkie święto tatarskie leżałem niby chory całe dwa dni, ażeby się od tego wybawić.

Otóż tedy, kiedym siedział u sekretarza hańskiego, ten mi wciąż prawi o wielkiej potędze hana: jak to przed nim noszą pięć buńczuków, to jest o jeden mniej, niż przed padyszachem (czyli sułtanem), jak w meczetach w całej Turcji modlą się za padyszacha, a potem zaraz za hana itd., wreszcie po długich omówieniach zapytuje, czym widział sułtanki, czyli córy hana, w pięknym ogrodzie bakczyserajskim. A trzeba wiedzieć, że Tatarzy nie zamykają swoich kobiet w takich haremach, jak Turcy. Edyga-bey, jeśli miał u siebie niby harem, to dlatego, że długo w Carogrodzie przebywając, w młodych leciech swoich, chciał naśladować tamtejsze zwyczaje.

Córy hana w Bakczyseraju widziałem nie raz w czasie krótkiego pobytu mego, a było ich wtedy ze dwadzieścia niezamężnych. Jedna, dziwnie gładkiego lica, z czarnemi oczyma, trochę do naszej Miry podobna, najpiękniejszą się między niemi wydawała, obracała się kilkakrotnie i uśmiechała, ukazując białe ząbki, gdyśmy obok niej przechodzili w alei, kasztanami zasadzonej. Zwała się Amina, jak mi powiedział Timur. I teraz znów pytał, czy pamiętam ową czarnooką Aminę i wreszcie dodał, że han wielce na mnie łaskaw i jest pewny, że się mu potrafię wywdzięczyć za to, że chce mi dać za żonę piękną sułtankę, wraz ze sporym worem złota, wielbłądami, końmi i bydłem na jej posag przeznaczonemi.

Wprawdzie zdarzało się nieraz, że takie sułtanki wychodziły za ubogich mirzów, ale skąd mnie, nieznanego im przybłędę, taki zaszczyt spotkał? Dowiedziałem się potem dopiero ,że Edyga-bey, chcąc swego posła uczynić znakomitszą na dworze hana figurą, powypisywał rozmaite nieprawdziwe o mnie historje, ale na razie wiedzieć o tem nie mogłem. Musiałem tedy tłumaczyć Timurowi, że dopóty o losie swoim nic postanowić nie mogę, dopóki nie załatwię spraw Edygi-beya, który mnie i odpowiedzi wielkiego hana niecierpliwie oczekuje; przyczem nieomieszkałem podziękować za wysoki zaszczyt, jakim mnie obdarzyć pragną; w duszy jednak myślałem, jakby drapnąć co najprędzej z tatarskiej stolicy. Jakoż we trzy dni po tej u sekretarza wizycie, siedziałem na wielbłądzie, który, kołysząc się niby okręt na morzu, niósł mnie napowrót do mojego pana.

Ucieszony pomyślnem poselstwem, Edyga-bey chciał mnie obsypać podarkami, ale ja nic nie biorąc, przypomniałem od razu uczynioną mi przezeń obietnicę, że otrzymam wolność. Nie cofnął Tatarzyn słowa, chociaż jeszcze próbował mnie zachęcić do pozostania na Krymie; wkońcu jednak widząc, że się przy swojem upieram, pozwolił wyruszyć w drogę, dając mi jeszcze małego Leszka i kaletę (sakiewkę) pełną złota.

Co się w duszy mojej działo, tego opowiedzieć nie potrafię. Noc całą przed wybieraniem się w podróż klęcząc, spędziłem na modlitwie, a z rana, skoro świt, wyruszyłem do Kaffy. Tam się spodziewałem spotkać z jakim kupcem chrześcijańskim i na okręcie do Wenecji popłynąć, a potem już lądem do ojczyzny się dostać. Jakoż we trzy dni potem, a była to bardzo piękna noc majowa, stałem na pokładzie galery weneckiej i patrzyłem w Niebo, uhaftowane tysiącami gwiazd, które zdawały się mrugać do mnie radośnie i pozdrowienie z ojczyzny przynosić.

— Ale coś mi się widzi, dobrodzieju mój — odezwał się pan Gozdawa — że niekoniecznie blizką drogę do kraju sobie obrałeś przez morze. Przecie nie tamtędy do nas wędrują, a oni pewno dłuższej drogi nie biorą.

— Dlatego to właśnie, panie wuju, ja tą drogą udać się nie mogłem, gdyż wpadłbym pewno w ręce tych rabusiów na nowo, a przytem miałem do spełnienia ślub, przed Ojcem Hjacyntem Panu Bogu uczyniony w razie, jeżeli mi się uda wyrwać z niewoli pogańskiej; oto miałem odbyć pielgrzymkę do domku Najwiętszej Matki Bożej w Loretto i tam krzyżem leżąc, wysłuchać Mszy świętej, pierwszej od czasów mego dzieciństwa. Otóż to Loretto leży nad morzem, we włoskiej krainie i tam mnie kapitan galery naszej wysadzić obiecywał, zanim do Wenecji dojedziemy. Inaczej się jednak Bogu podobało, jak to zaraz zobaczymy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak ludzie mieszkają.

Sprawa schroniska, gdzieby można się wyspać, strawę gotować, schronić przed deszczem i zimnem, jest rzeczą na równi ważną z jedzeniem, i od najdawniejszych czasów przez ludy ziemi naszej rozpatrywaną i ulepszaną.

Gdyby na ziemi były jednakowe warunki klimatyczne, zajęcia ludzi jednakie, a materjały równo i wszędzie rozmieszczone, wtedy pewnie, wytworzyliby ludzie jeden typ domów, z niewielkiemi odmianami, który, gdyby ktoś ulepszył, wieść o tem rozeszłaby się szybko tak, że wkońcu doszlibyśmy do zrozumienia w jaki sposób najprościej i najtaniej budować domy, które byłyby niezmiernie trwałe, suche, wygodne, ciepłe i z wyglądu piękne.

Są krainy na ziemi, o klimacie zimnym, gdzie słońce bez przerwy świeci pół roku ledwo widoczne na horyzoncie, a pół roku panuje znów bez przerwy zmrok. Gdzie śnieg prawie nigdy nie taje, gdzie nietylko lasów, ale i trawy niema, najwyżej mchy i porosty, gdzie niema ani koni, ani krów, jeno reny żywiące się porostami, i psy żywione rybami przez ludzi, którzy w krainach tych żyją jednak, żywiąc się

wsi, wtedy nie widać jej wcale na powierzchni, i jeno niewiele ponad śnieg sterczących rur kominowych, domyślić się można, że wieś jest pod śniegiem. Domy (u bogatszych), składają się z dwu części zewnętrznej, czeladnej i dla zwierząt w czasie najostrzejszego zimna przeznaczonej, i wewnętrznego namiotu, dla ludzi starszych to jest państwa.

Pomimo, że temperatura na dworze dochodzi do 60° C niżej zera a nawet 75° C (u nas w górach najwyżej jest — 35° C) w środkowym namiocie panuje jakby upał, jest tam tak ciepło, że ludziom naszym trudno wytrzymać.

Kraje te, znajdują się wokół koła podbiegunowego, a ludzie tam mieszkający zwą się Eskimosami.

Są znowu tak ciepłe miejsca na ziemi, że spać można bez obawy cały rok bez kołdry i koca, nawet nago, gdzie nietylko śniegu niema nigdy, ale deszcz czasem raz na trzy lata tylko spadnie. Są to niezmierzone piaskowe pustynie afrykańskie, z rzadka tylko w miejscach, gdzie woda gruntowa podpływa, obrosłe palmami daktylowemi i skąpą kolczastą trawą. To też domy tamtejsze, są raczej ochroną od słońca i wiatru, zbudowane z łyka, kory i liści palmowych, bez okien i drzwi.

W innem zaś miejscu na ziemi, jest tak samo ciepło, roślinność tak bujna jak tylko wyobrazić sobie można, ale deszcze są tam tak częste, że prawie co dnia przechodzą ostre i nagłe burze, nagle też przemijające. Gdyby chciał tam ktoś wodę w ciągu roku opadłą z chmur zebrać, to obojętnie jakiej szerokości użyłby naczynia byle równego od góry do dołu, uzbierałby się jej słup ponad 3 m. wysoki, a u nas, w miejscu największych opadów (pow. wadowicki) zebrałoby się jej, razem ze stopionym śniegiem, tylko 1.33 m. To też domy tamtejsze ograniczają się głównie do starannej budowy dachów, a u spodu zabezpiecza się je tylko przed wężami, które w krajach tych są bardzo liczne, i wciskają się wszędzie. Ponieważ w krajach tych do 300 m. ponad poziom morza komary dają się bardzo we znaki, łóżka zbudowane są jakby pod szczelnem okryciem z cieniutkiego jedwabiu chińskiego. Dzieje się to na wyspach Malajskich Indji południowych.

Na stałym zaś lądzie południowych Indyj, budują domy z kamieni w kształcie kopuły, w których bydło żyje w zewnętrznej izbie, wewnątrz zaś jest jeszcze jedno pomieszczenie dla ludzi. Na noc zawala się wejście, zakłada kamieniami, by w czasie snu nie dochodziły do wnętrza żadne odgłosy z dworu, (z tego też powodu nawet kur tam nie hodują), a nie dlatego, by się przed złodziejami uchronić, bo nie tylko „sztuka" złodziejska nie jest tam znaną, ale nawet nie mają oni w mowie swej wyrazu na „ukraść", „kraść", „kłamie", „złodziej" i t. p. Jest to lud pasterski, z miejsca na miejsce się przenoszący i budujący wszędzie na główniejszych miejscach takie domy, pozostawiając w nich jedynie jednego człowieka dla pilnowania, by dom się nie zanieczyścił, i znów gdy w miejsce to wrócą, by mieli schronisko czyste, gotowe do użytku.

Inne ludy pasterskie, koczownicze jak Tatarzy, budują domy swe ze skór bydlęcych, to jest raczej namioty (t. zw. jurty), które ze sobą wożą na koniach. Namioty ludów koczowniczych, zależnie od klimatu są albo cieniutkie, nawet z płótna (południowa Ameryka), albo o grubych podwójnych ścianach skórzanych (Ałtaj), przyczem kształty ich są różnorodne. To co dla jednych bowiem jest dobre, dla drugich byłoby zbyteczne, a nawet zawadzałoby.

mięsem ryb i zwierząt morskich złowionych i zakonserwowanych w czasie „lata". Domy swe budują w śniegu, pod ziemią, wyścielając ściany skórami, a dym z ogniska wychodzi otworem u sufitu. Gdy zajedzie się saňmi o płaskich płozach jak narty w środek

W Japonji, na południowych wyspach budują domy parterowe na cieniutkiem bambusowem rusztowaniu, dając ściany z papieru, a drzwi z wiszących frendzli. Gdyby bowiem domy były tam z kamienia lub cegły, wtedy pierwsze trzęsienie ziemi (trzęsienia są tam na porządku dziennym) zrujnowałoby ciężki dom, i pogrzebało na zawsze pod gruzami śpiących w tym czasie mieszkańców. Lekkie bambusowe rusztowanie, waląc się, nie zabije nikogo, a za pół dnia dom jest na nowo postawiony.

W krainach o klimacie umiarkowanym, gdzie ludność przywiązana jest do jednego miejsca na ziemi, a więc rolnicza, buduje się domy z gliny palonej lub nie palonej lub z drzewa, używając kamienia łupanego głównie do fundamentów i podmurówek.

W Grecji i Rzymie budowano domy bez okien, pieców i t. d. jedynie na środku był w suficie otwór, przez który padał deszcz do sadzawki na środku pokoju w podłodze umieszczonej, a słońce dostatecznie oświecało wnętrze. W tym samym klimacie n. p. we Włoszech, budują domy ze szczelnie zamykającemi się okiennicami, gdyż tamtejsi ludzie wierzą w to, że słońce powoduje reumatyzm i chronią się od niego.

W wielkich miastach, gdzie ludzie zajęci są ciągle interesami, gdzie każdy ciągle coś oblicza, spieszy się jak w gorączce, gdzie rozwinięty jest przemysł, budują ludzie domy na 60 i więcej pięter do góry wysokie, a na spód pod ziemią jeszcze ze cztery piętra, w domach tych jest jakby całe miasto od teatru, kin, banku, restauracji, doktorów, golibrodów, adwokatów, — a ludzie jak mrówki snują się i jeżdżą pionowemi wyciągami, ciągle jakby w gorączce, i nie mając na nic czasu innego, jak tylko na myślenie, jakby tam, a jakby tu zrobić interes, by tamten się nie poznał, a ja zarobił...

Domy te robi się w ten sposób. Buduje się z błyskawiczną szybkością kolej, która dowozi blaszane dźwigary, pręty, kable elektryczne, rury wodociągowe, które przecina się na miejscu w odpowiedniej długości, ale nie piłami, jak u nas, boby to zadługo trwało, lecz tnie się lampą tleno-wodorową o niezmiernie ostrym topiącym płomieniu, kawałki składa się razem, jak mają być na budowie i miejsce znów lampami spaja, na nitowanie nawet maszynowe niema czasu. W ten sposób rozprowadza się rury wodociągowe, kable elektrycznego oświetlenia, okrywa się domy arkuszami tektury (z masy papierowej), potężne maszyny mieszają zaprawę cementową i zalewają z niezmierną szybkością rusztowanie blaszane, tworząc dom 60 i więcej piętrowy, gdyż pozostają jeno wewnętrzne urządzenia i okna, które się momentalnie oprawia, są bowiem jednej miary, a do jednego budynku wychodzi ich dziesiątkami tysięcy.

Jaką wartość przedstawiałby jednak dom taki dla zwykłego cygana, gdyby musiał w nim mieszkać, a nie wolnoby mu go sprzedać? Pewnie odrzekłby się takiego dobrodziejstwa.

W Egipcie, gdzie niema zupełnie kamieni, ale piasek i muł Nilowy (glina), robią z niego i cienkich listewek drewnianych lub patyczków z liści palmowych domy włościańskie bardzo trwałe, gdyż w glinie nawet najsłabsze drewno się b. dobrze zachowuje.

Legin.

MODLITWA ORACZA.



Przyszła wiosna ukochana,
Jakoś, człeku, lżej na świecie...
Pachnie niwa rozorana,
Pachnie w sadach białe kwiecie!

Gdy na niebie słońce świeci
I pieśń nuci swą skowronek,
Z serca żałość precz uleci
I szczęśliwiej mija dzionek!

Gdzieś znikają wszelkie troski,
Obsychają łzy rozpaczy,
A zaś szczęście wpośród wioski
Jasne smugi sobą znaczy.

Takie szczęście bije z nieba
Od samego niemal rana,
Że już człeku nic nie trzeba,
Tylko za to chwalić Pana!

Tylko nieść Mu korne dzięki,
Nieść serdeczne dziękczynienia,
Za te dary z Jego ręki,
Które zlewa na stworzenia.

W takie wiosny piękne rano
Wyszedł rolnik z swoim pługiem
Na tę rolę niezoraną
Co się ciągnie pasmem długiem,

I nim w ziemię stal uderzy,
Nim pod pługiem zadrży gleba,
Złożył ręce do pacierzy
I wzrok korny wzniósł do nieba!...

I w modlitwie cichej błaga,
By ta ziemia sercu miła
Stokrotnie mu obrodziła,
By mu w pracy Bóg pomagał.

By, gdy przyjdą dni żniwiane,
Strzegł Bóg od burz, nawałnice
Jego łany ukochane
I strzegł całą okolicę.

Antoni St. Bassara.



MACIEK BZDURA GADA:

Powiadają niftóre ludzie, że ja juz całkiem z kościamy pomiędzy baby wlazem i poza niemi świata Bożego nie widzę. Zarzucają mi, ze cypiłem się dzieuch i gdzie mogę i jak mogę, to kuzdej łatkę przypnę, a do chłopów się nie weznę, choćby to były najwiękse zbereźniki. Co prawda, to prawda, więc i ja przycył nie będę, jakoby mnie kiedykolwiek bardziej do ftórego chłopa ciągło, anizeli do baby. Bo powidźcie no mi, co moze do chłopa ciągnąć? Cy moze ta faja, ftórą od samego rana do nocy kopci i bez którą z gęby swojej robi taki komin, jakiego nawet w najwięksej fabryce nima. Jak cłek przytknie swoją gębę do babskiej gęby, to jezeli śniej nie pachnie, to i nie śmierdzi, a próbujcie się tak przytulić do chłopskiej, to choćby to była gęba nietylko Ignacego Brzdękały, ale nawet samego jaśnie oświeconego hrabiego z Psichkisek, to wam od niej cała trafika jedzie, ze jaz obrzydzenie cłeka bierze. Kuzden chłop: pisarz, cy konwisarz codzień tyle smrodu ze siebie wypusca, ze nie wypuści go ani tysiąc bab za śtyry tysiące lat.

Raz był u nas w Psiej Wólce jeden pan miastowy, ftóry ćmił tak fajcysko, jak lokomotywa od pośpiesnego pociągu. Siedliśmy se pod wirzbą, zakurzyliśmy se fajki i tak gadu, gadu, ześlimy na kurzenie. On swoje, a ja swoje! Padam mu:

— Mnie to tam nie dziwota, ze jak dostanę od kogo krusynę tutoniu, ze se zapalę, bo cy ja tam będę zył rok dłuzej, cy krócej, to bezemnie dziury w niebie nie będzie, ale was, panie, to naprawde skoda, zebyście swój zywot marnowali. A choćby tutoń nie był tak skodliwy, jak to powiadają nas jegomość, to przecie skoda tak se gęby zapaskudzać, coby śniej ciągiem śmierdziało. Mnie ze tam śmierdzi, to nic nie skodzi, bo ja i tak cały nie pachnę, ale wy, co jaz białość od was kapie, tak się samo fściąc paskudzicie!

— Wis, Maciuś — on mi na to — wiem ja ze fajcysko skraca zycie człowiekowi, wiem, ze z gęby, choćby i najućciwsej, robi celuście piekielne, ale od kurzenia nie mogę się ani rus odzwycaić. Kurzenie koniecnie mi do zycia potrzebne. Zreśtą wszyscy od stworzenia świata kurzą, to i mnie nie wypada zaprzestać.

— Wszyscy, nie wszyscy — ja na to — i nie od samego stworzenia świata. I na przykład: Nie palą mój gospodarz, bo gosposia ślipiaby im wydarli, jakby zuźreli u nich fajkę w gębie, nie pali nas prefesur, bo ni ma za co i jakby palił, toby mu na zelówki nie wystarcyło, i jesce jakich ze śtyrech inksych w nasej parafji nie pali, a i tak zyją. Nie palił Jadom w raju, nie palił Abraham i Mojżes, nie palili i inksi bez całą biblije, a przecie zyli długo i mieli wiele dzieceк, bo babom nie śmierdzieli i przez to te od nich nie uciekały.

— Słuśnie mówis, Maciuś — powiedział pan na to i zapalił se nową fajkę.

I powidzcie mi, cy chłopy nie gorse od bab, bo cy widział kto, zeby która baba fajkę, albo papirusa kurzyła? A jakby zuźrał taką i lepiej ją na wszyćkie strony oglądnął, toby się przekonał, ze to nie baba zadna, ino chłop w babskiem ubraniu.

A znowu drugi dowód, ze baby wartniejse od chłopów! Nie wiem, cy kto z was próbował pocałować chłopa w gębę, bo babę to chyba kuzdy... Do babinej gęby to się mozna zblizyć całkiem bliziutko. A do chłopskiej ani rus... Tu wąsiska, tu brodzisko i ani sie obejrzys, jak cię pokole na wszyćkie strony nicem pokrzywa. A choćby tak fto na te wszyćkie kłócia nie zwazał i dał się całować, to po dziesięciu razach pewnikiemby na gębie nagniotków dostał. A baba całkiem co inksego! Ona cię ino muśnie nicem wiaterek jaki lekusieńki i choć ci powiada, ze to juz, to tobie się zdaje, ze jesce nic nie było i moze za godzinę nie będzie. Nie wierzycie? Spróbujcie! Ja wam nie bronię!

A choćby znowu i podanie ręki. Jak ci baba swoją rękę do twojej ręki poda, a nie w kark, to ci się zdaje, ześ ulęgałkę, albo i co jesce mięksego do garści wziął. Musis ino uwazać, zeby ci się to w twojej łapie nie zgniotło. A przecie wszyćkiem wiadomo, ze jak chłop uściśnie rękę, to w najjaśniejsy dzień mozna zesłorocne gwiazdy uwidzieć. Baba przy podawaniu ręki to okropnie miłkrne stworzenie. Gorzej jest, jak ta baba jest gospodynią i ręka jej nie do twojej garści, ale na kark twój leci. Ale i w takiem wypadku to nie ona w tem ponosi winę, ino powietrze, które z całą siłą jej delikatną rąckę z całym rozmachem ku twojemu karkowi pędzi.

O tem wszyćkiem to ja juz wiedział przed stu laty, ale nie powiadałem nikomu, bo mi się widziało, ze wsyscy o tem wiedzą, jako ze kuzda baba jest wartniejsa od chłopa. A i bez to nie chciałem bab publicnie chwalić, bo mi się widziało, ze jak się dowiedzą, co ja tak dobrze o nich myślę, to mi nie dadzą ani w dzień, ani w nocy spokoju. A bałem się tego okrutnie, bo przecie wiadomo, ze ose cy jakiego inksego chrobaka to nawet dymem odpędzi, pies kija się zlęknie, a na babę, jak się ucepi, to ni ma na świecie sposobu, aby człowieka zostawiła w spokoju. Nawet djabeł boji sie święconej wody, a na babę nikt jesce likarstwa nie wynalazł i... nie wynajdzie.



Powrót wiosny.

Już wraca wiosenka
Piękna i wesoła
Płynie w dal piosenka
Ponad wiejskie sioła.

Już wraca wiosenka
Ponad wiejską strzechę
Słychać śpiew skowronka
Niosący pociechę.

Płynie w dal piosenka
Od sioła do sioła
A nas śpiew skowronka
Znów do pracy woła.

Do pracy nas wzywa
Na ojczystej „Roli“
I nam cudnie śpiewa
W ciężkiej życia doli.

Już wraca wiosenka!
Czas więc już Rodacy
Gdy zabrzmi piosenka
Wziąść się znów do pracy.

Władysław Bienias.

LUDWIK ST. UNSING. (Przedruk wzbroniony).

Getsemane.

Powieść biblijna.

W mgnieniu oka wytrzeźwiał Judasz po tych słowach i rzucił się Chrystusowi do nóg.

— Panie! zawołał. — Bądź miłościw mnie przeklętemu i przebacz!

Łazarz patrzał na to zdumiony nic nie rozumiejąc.

— Przebaczam ci synu mój i jeszcze przebaczę, jako nakazał Ojciec mój niebieski.

Wszedł Szymon zwany Piotrem. — Panie, — rzekł. — Oto oślica czeka na Twoje przybycie! Tłumy obległy każdą piędź ziemi, a z góry nowe fale płyną.

— Dlaczego tak ścigasz mistrza Szymonie? — zagadnęły niewiasty. — Wszakże utrudzon wielce Pan wasz, niechaj spocznie.

— Nie pora, nie pora — bronił się Chrystus. — A jako słabe ciało chętnieby z wami zostało, duch musi iść naprzód, aby się wypełniło co jest napisane!

I Chrystus, wszystkich z osobna ucałowawszy, upuścił kilka łez serdecznych na posadzkę i otarłszy oczy rzekł. — Maluczko, a już mnie nie ujrzycie... Poczem wybiegł wraz z uczniami w dziedziniec. Gruchnęło gromkie Hosanna! Cześć synowi Dawida!

Chrystus usiadł na oślicy i wjechał w tłum. Rzucano weń kwieciem, gałązki oliwne, cedrowe i palmowe słano mu pod nogi, a nawet szaty rozkładano, by godnie okazać uwielbienie i wciąż krzyczano: Hosanna królowi żydowskiemu! Hosanna i błogosławieństwo temu co przychodzi w imię Pana!

A Chrystus łagodnie podpędzał swą oślicę, a widząc zbrojny pluton z daleka i łuczników na murach, zawołał gromko: — Nie bój się córo Sjonu, wszak na oślicy jedzie król twój!

V.

Wdzięczność tetrarchy.

Orszak galilejskiego tetrarchy wjechał w dziedzieniec pałacu króla Heroda, ze sprawnością ćwiczonego wojska. Podwoje pałacu otwarły się bez widocznej pomocy służby; poza niemi stał majordomus ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma.

Zręcznym ruchem otwarł Arjus lektykę, z której wychylił się majestatyczny starzec. Wygląd tetrarchy Górnej Galilei był wspaniały zwłaszcza dla tych, którzy go znali rok temu. Z pochyłego starca, bezzębnego, z wysuniętą naprzód dolną szczęką, drżącą, jak we febrze, z podejrzliwem, a bezlitosnem wejrzeniem, z garbem na plecach i fałdowaną, obwisłą, żółtą skórą, stał się człowiek sympatyczny, o cerze zdrowej i wyrazie twarzy pociągającym uprzejmą serdecznością.

Zgoła kto inny.

Po dziewięciu marmurowych schodach wiodących ku podwojom pałacu wyszedł sam, podczas gdy świta ustawiła się wzdłuż schodów po obu bokach, prezentując broń. Arjus podtrzymywał zwisający ogon purpurowego płaszcza z tyłu.

Majordomus, usuwając się ze czcią z drogi, podniósł prawą rękę w górę zginając równocześnie grzbiet w pas i rzekł:

— Pan mój, miłościwy król Izraela, tetrarcha Judei, Herod Antipas, czeka na rozkazy Waszej dostojności.

— Niechaj uwielbion będzie Pan twój, sławetny Herod Antipas — odparł tetrarcha. — Prowadź!

Przez szereg krużganków wiodła droga, poprzez zieleń sztucznie utrzymaną i zwisającą z filarów. Majordomus, znikł za kotarą, rozsnutą u celu drogi na moment, poczem odchyliwszy ją całkowicie, zawołał gromko:

— Jego dostojność, tetrarcha Górnej Galileji!

Tam gdzie starzec wszedł, była to sala tronowa. Bił z niej majestat i pompa; Herod bowiem lubił olśniewać.

Siedział na tronie wspartym na dwu brązowych lwach, cały w purpurze i złocie, na głowie miał szal arabski zwisający na kark, a otoczony złotą obręczą z drogim kamieniem nad czołem. Ten strój, sala i tron kazały się domyślać, że wizyta ma charakter oficjalny, dyplomatyczny.

Antipas zobaczywszy gościa, powstał z tronu, złoconą krótką laskę, pokrytą rzeźbami schylił ku ziemi i pełen majestatu, silnie pychą naszpikowanego, zszedł ze stopni tronu. Jednem skinieniem oddalił asystę, której strój z syryjskiej, niebieskiej purpury prześlicznie harmonizował z salą, sprzętami i jego królewską osobą.

Znając pustość Heroda, tetrarcha udał olśnienie, czem wywołał dobrotliwy uśmiech na królewskich wargach i żywy błysk, wyrażający się w oczach.

— Oto mój miły druhu, spocznij! — rzekł Antipas wskazując laską na tron, z którego zszedł przed chwilą. — Proszę, spocznij! Nie mogę wyjść z podziwu patrząc na ciebie i niemal zazdroszczę ci tego wspaniałego i zdrowego wyglądu mój druhu! Proszę, spocznij!

Ale tetrarcha nie okazywał chęci do spoczywania.

— Daruj wasza kólewska mość, ale czasu nie mam — rzekł uprzejmie.

— Sprowadza mnie tu potrzeba: sprawa mojego moralnego wierzyciela.

— Nie rozumiem cię druhu. Chodzi o tego Galilejczyka?

—Tak, Nazarejczyka. Mam dowody, które każą mi wyznać waszej królewskiej mości, że rozkazów jego nie słuchają podwładni mu uczeni.

— A toż, jakim sposobem? — zapytał Antipas, robiąc minę sztucznego zainteresowania.

— Chcą nasze wpływy osłabić, przez fałszywych świadków, i temuż Nazarejczykowi wytoczyć sprawę o zdradę stanu — mówił starzec poważnie.

— Herod skubnął brodę namaszczoną spikonardem.

— Do dziś nic mi niewiadomo o tem. Nie chcę nawet myśleć, aby poza plecami monarchy, niechby nawet był bez władzy, powtarzam: poza plecami mojemi, aby śmieli kuć takie sprawy!

— Polegając na słowie waszej królewskiej mości, byłem spokojny, wszelako, jak już mówiłem, mam dowody. Racz spojrzeć królu na Kapera i doktora Ezechjela, a wyczytasz obawy moje z ich poturbowanej skóry.

— Ach! Kaper i Ezechjel! — przybierając minę zupełnego zrozumienia, krzyknął Herod — To już! To raczej sprawa Sanhedrynu, powiedzmy Sjonu. Tam druhu się udaj! Ja ze swej strony przyrzekam na prochy ojca, że o ile sprawa o mnie opartą będzie, zrobić wszystko wedle twego życzenia druhu, miły druhu!

— W takim razie, nic więcej tu do roboty nie mam, dziękuję i Waszą królewską mość żegnam.

Kawalkada tetrarchy ruszyła tedy na Sjon. Ruch i zgiełk niedoopisania panował pod świątynią. Pełno

kwiecia, i wszelakiej zieleniny rozrzuconej wokoło, wprawiło w zdumienie starego tetrarchę. I szczególny jeździec na oślicy, godzący już w progi świątyni. Jeździec oglądnął się; oczy ich spotkały się. Uśmiechnął się Nazarejczyk, świdrując w głębię duszy swym spojrzeniem starca, który w tej chwili dopiero zdał sobie sprawę z potęgi, jaką rozporządza jego uzdrowiciel. Nadzieja błysła mu w duszy.

— To już łatwiejsze zadanie — myślał.

Pchnął Arjusa do arcykapłana z prośbą o posłuchanie, a po chwili wrócił tenże z oznajmieniem, że arcykapłan czeka. Tedy nowa serja schodów, nowa ceremonja przyjęcia, poczem arcykapłan podsuwając taburet wyścielany, zapytał o powód zaszczytu przyjmowania u siebie tak dostojnego gościa.

— Doszło mojej wiadomości, że Sanhedryn wykuwa zdradziecki proces przeciw Nazarejskiemu Jezusowi zwanemu Chrystusem, ze spraw religijnych, aż o zdradę stanu!

— Wasza dostojność daruje, ale nic o tem nie wiem — odrzekł arcykapłan syn Setha.

— O ile pamiętam, mam wasze przyrzeczenie, że włos z głowy Nazarejczyka nie spadnie, a tymczasem śledzi się go wszędzie — kwaśno mówił tetrarcha.

— Śledzić kogoś, to nie znaczy procesować o zdradę stanu, wasza wysokość! — pokrywając wybuch odparł arcykapłan. — Śledzić, tak... śledzimy, bo Zakon tego wymaga aby był dlań należny posłuch i szacunek. Buntowników karał Zakon dawniej, a i dziś karać będzie, nawet wtedy, gdyby to waszej dostojności nie podobało się.

— Tak? Zdaje mi się, że takie rzeczy ocenia każdoczesny tetrarcha, zanim ściganego dotknie kara — upomniał starzec.

— Tej formalności uczyni się zadość, zapewniam waszą dostojność. — Co się tyczy obietnicy, jaką niebacznie, daliśmy waszej dostojności, to dotrzymać niestety musimy i dotrzymujemy.

— Jakto „niebacznie" — proszę wytłumaczyć — zakręcił się tetrarcha na taburecie.

— To znaczy, że buntownik ten, korzystając z tak możnej opieki, rzuca się zuchwale w oczy i buntuje śmiele rzesze, gotowe nas poturbować na jego zlecenie — to znaczy! — z naciskiem dodał arcykapłan.

— Rzucałem się i ja kiedyś przeciw niemu, dziś widzę w postępkach jego cel godziwy i potęgę czynu.

— Ach! ze stanowiska tetrarchy! Ale ze stanowiska arcykapłana proszę spojrzeć!

— To zależy od oka, od rozumu i idei wreszcie — odbił zarzut tetrarcha. Jeśli tego zabijecie, to któż właściwie tu zostanie?

— Sanhedryn, nad którym codzień słońce wschodzi i olśniewa jego sprawiedliwość — butnie odparł arcykapłan.

— A tymczasem ja na to nie przystaję synu Setha! Nazarejczyk wyjdzie wolny, albo cesarz będzie zawiadomiony o zdradzie przeciw niewinnemu!

— Zlecenie waszej dostojności spełnionem będzie, bez potrzeby uciekania się w orędzie Tyberjusza Nerona! — poważnie gwarantował Annasz. Ale proszę spojrzeć! — odsuwając muślin zakrywający okno, wybiegające na świątynię. — Proszę spojrzeć, jakże to się waszej dostojności podoba?

Spojrzał tetrarcha przez okno. Ze świątyni wylatywały, jakby niewidzialną jakąś siłą wyrzucane, stoły, stragany, ławki i towary, za niemi rozmaici przekupnie, których tłum obijał czem kto mógł.

— Jakże się to waszej dostojności podoba? — powtórzył arcykapłan pytanie.

— Widzę, że wyganiają kupców i ich sklepy.

— Tak. Jest u nas stary zwyczaj, że w przedsionkach świątyni, za naszem zezwoleniem prowadzi się godziwy handel. Zwyczaj stary, uświęcony powtarzam. Proszę zobaczyć, jak szanuje tradycję ten buntowniczy młokos! — oburzył się arcykapłan.

— Nie mogę brać za złe tego porywu świętego męża! — oponował starzec. — Dom boży winien być domem modlitwy a nie handlu, albo nawet lichwy. To, według mnie odejmuje uroku świętości miejsca, no i urąga waszej godności.

— Już widzę, że rozmowa z waszą dostojnością jest próżna. Widzę, że wszystko jest dobre cokolwiek robi ten buntownik, a wszystko jest złe, co przez wieki przekazała tradycja — żachnął się arcykapłan. — Ale cokolwiekby, nawet galilejski tetrarcha, miał na uwadze, zdaniem moim i całej Rady, czyn tego obieżałca jest buntem, jest zakłuceniem usankcjonowanego tradycją porządku.

— Przeto stanę na waszem stanowisku — po namyśle odparł starzec. — Przebaczcie mu nawet to. Proszę cię o to synu Setha. Usunięcie przekupień ze świątyni, wszak niedotyka was bezpośrednio i wywołać nie może jakichś poważniejszych zaburzeń.

— Powiedziałeś panie — skłonił się arcykapłan. — Tylko, że w tej sprawie, bardziej jest kompetentny rządzący arcykapłan, to jest zięć mój: Kajafas.

— Och, niezawodnie. Ale wiadomo mi, że ty, synu Setha trzęsiesz sprawami Zakonu!

Uśmiech pojawił się na zaciśniętych wargach Annasza.

— To jest, ja, prawda. Ale to co wasza dostojność widziałeś przez okno, jest zbrodnią publiczną i właściwą decyzję mieć będzie Poncjus Pilatus.

— Jakże to! — na równe nogi skoczył tetrarcha — Kpisz ze mnie synu Setha! Oburza się Annasz, a sądzić ma Kajafas, a gdy tyś jest kompetentny, wtedy sądzić ma Poncjus!?

Annasz poznał, że manewr dyplomatyczny nie udał się i począł rajterować.

— Nie to miałem na myśli — wasza dostojność. — Chciałem tylko powiedzieć, że w sprawach mojej kompetencji, chcę iść na rękę nawet wtedy, gdy chodzi o tego buntownika. Tak proszę rzecz rozumieć!

— Zatem, zaklinam cię arcykapłanie, abyś słów swoich dowiódł czynem!

— Jakoś rzekł, stanie się wasza dostojność — uroczyście przyrzekł Annasz.

— Ale ton w jakim przemawiasz, każe mi powątpiewać w szczerość twego przyrzeczenia — zastrzegł się tetrarcha — mam zamiar zjawić się na Radzie, gdzie z siedmdziesięciu jeden skaptuję najmniej połowę.

— Och! Toż to zbyteczne, zupełnie zbyteczne... wszak powiedziałem panie, że sprawa ubita!

— Tedy żegnam. Ale wrazie gdybyś słowa nie dotrzymał potrafię cię przekonać co może tetrarcha!

— Adonaj! — udając lęk, zaklął się Annasz. — Trzebaby nie dbać o własną skórę, aby na podobną próbę się wystawiać! Bascheim Adonaj!...

Kawalkada już prawie zdążała ku bramie Efraima, gdy rozmyśliwszy się tetrarcha kazał zawrócić do pałacu Ponckiego Piłata.

— Wszystko należy zrobić! — pomyślał.

Choć znużenie zaczęło go ogarniać i upał słoneczny doskwierać, nową porcję schodów przeszedł sam. Bez wszelkich ceremonij, jak dobrego starego znajomego przyjął go Poncjus Pilatus.

— Witam cię w progach mej lichej budy! Witaj tetrarcho!

— Witaj Poncjuszu! — szczerze ogarnął ramię Rzymianina tetrarcha, ocierając pot z czoła. — Choć świeżo zdrowion i krzepko się czuję, upał mąci mi w głowie.

— Nic dziwnego mój stary. Ot kubek oranżady w mem triklinjum przywiedzie cię do równowagi — twierdził Poncjus.

— O, dziękuję, niechże będzie... Przeszli do triklinjum, gdzie starzec ulokowawszy się na sofce, chciwie wypił chłodnik.

— Dobre to, — rzekł z uznaniem i począł ssać cytrynę, jakich sporo leżało na srebrnej tacy. — Mój przyjacielu, mój Poncjuszu, jestem u ciebie w sprawie, może nie tak ważnej dla ciebie, jak niezmiernie dla mnie!

— Ohho! Ciekaw jestem wielce — przysiadł się Poncjus.

— Wykryto spisek, niegodny wielce. Nie taki przeciw tobie, ale przeciw memu dobroczyńcy: Nazarejczykowi, Chrystusowi. Podsłuchano rozmowę dwu uczonych, z której wynika, że, aby skutecznie położyć kres jego działalności, trzeba mu wytoczyć sprawę o zdradę stanu i tym sposobem nawet twój wpływ unicestwić!

— A no, słusznie — mruknął Piłat. Z samego charakteru imperatora wynika ta możliwość: chodziłoby o moje życie!

— Także to?

— Cóż się tak dziwisz? Albo nieznany ci Tyberjusz Nero?

— Znany aż nadto, ale aby zasądzić, trzeba dowodów. Wszakże oprzesz się fałszywemu oskarżeniu?

— Żydowskiemu? Tak, oprę się.

— Byłem już u Heroda i byłem na Sjonie — wszędzie przyrzeczono pomoc.

— Szkoda cię mój drogi! — twierdził Piłat — Sjon, to kretowisko podłe, Annasz obłudny!

— Dlatego ciebie odwiedziłem i proszę o pomoc Poncjuszu.

— Oh! Nie odmawiam, gdy coś będzie zaprawdę. Tylko, że do dziś nic jeszcze niema, więc może próżny strach.

— Możliwe... chociaż... bo taka rozmowa na próżno nie jest prowadzona... Ale, czy nie uznajesz za właściwe powiadomić Rzym naprzód, bo widzisz, lepiej się salwować z góry niż gdy na to może być zapóźno.

— Ba, na to mamy czas jeszcze, gdyż na wypadek oskarżenia o zdradę stanu, sprawa będzie się wlokła. Zażądam dowodów konkretnych, a w międzyczasie Rzym zawiadomimy — to dobry pomysł.

— Więc wedle ciebie, nic groźnego nie zachodzi?

— Narazie nic, bo i nic nie wniesiono.

— Zawsze lepiej, że wprzód ciebie o radę spytałem; uspokoję dzieci moje co do tego.

— Tak, tak. Powiedz im, że nim Poncjus swoje sposoby działania wyczerpie, odechce się żydostwu oskarżeń! Batem i kontrybucją upokorzę ich, aż do ziemi, że taka sposobność może się nadarzyć!

Zerwał się Poncjus i począł chodzić po triklinjum.

— Nie uwierzysz, jaką mi to przyjemność sprawi, jak bardzo pragnę się zemścić, a wystarczy powód, maleńki powód.

Tetrarcha powstał. — Znużon jestem wielce i czas bym wrócił spocząć; tobie Poncjuszu sercem dziękuję, za gotowość i radę!

Wielkorządca wyprowadził gościa, aż do lektyki setnie uścisnąwszy ramię. Sprezentowano broń i kawalkada tetrarchy ruszyła bramą Efraima ku Betanji.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Myśli.

Święta prawda, co znane przysłowie orzeka:
„Zjesz wprzódy beczkę soli, nim poznasz człowieka.

☆

Lekarz Galenus żył lat sto czterdzieści,
Prowadząc żywot tej mniej więcej treści,
Że co dziesiąty dzień miał post przy stole,
Lubił wciąż mierność, potępiał swywole.

☆

Rozkosze lubieżników, coś jak rzeki morskie
Z początku w nich słodkie wody, wkońcu słono-gorzkie.

☆

Życie ludzkie w dwóch tomach zamyka się przecie:
Jeden tu się drukuje, drugi w przyszłym świecie.

☆

Życie ludzkie nie igraszka, jak to wszyscy wiecie,
Lecz podobno b wrdzo ważne zjawisko na świecie.

Piotr Wenc.



Zamek zbójecki.

(Fantazja). (Dokończenie).

W niewielkiej odległości od zamku, wśród krzewów obficie zarastających grunt w tem miejscu, znajdowała się skała, odróżniająca się od innych kształtem, albowiem miała wygląd jakby kopca ostro ściętego na końcu, z wejściem gęsto zarośniętem wszelaką rośliną. W tej to grocie mieszkał pustelnik, świątobliwy mąż znany w całej okolicy. Zbójcy jakkolwiek wiedzieli o jego kryjówce, jednakowoż nic mu nie robili złego, wstrzymywani jakąś tajemną trwogą i uszanowaniem dla pustelnika. Ten zaś najchętniej pomagał i wedle sił służył mieszkańcom wioski, czy dostarczając „lubczyku" nieszczęśliwie zakochanej dziewicy, czy wreszcie odpędzając czary „złego" lub zażegnując nieszczęśliwe choroby, mające spaść na bydło.

Właśnie cienie nocy nadchodzącej ściemniły lazur nieba, gdy pustelnika zagłębionego w pobożnych rozmyślaniach nad prawdą słowa Bożego, zbudził z zadumy lekki szmer, odgarnianych zarośli, następnie słaby jęk — „Otwórzcie!" — Złożywszy księgę, wyszedł szybko z groty. Przed wejściem uderzył go dziwny i zarazem smutny widok: oto na ziemi w kałuży krwi z poszarpaną odzieżą leżała jakaś postać. W oczach, odbijających się ostro od bladej prawie bez życia twarzy, odbijał się straszny ból duszy pomięszany z cielesnem cierpieniem, w całej postaci widać było ostatni etap walki życia ze śmiercią.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha św. — kto to? — zapytał z drżeniem pustelnik.

— Nieszczęśliwa błagająca o pomoc — doszedł go cichy ledwie dosłyszalny szept.

— Dziecię skąd jesteś?

— Stamtąd — wskazała ręką na ostro rysujące się kontury zamku.

— Jakto tam... u zbójców... a więc...

— Słuchaj ojcze, ja wnet umrę, trzeba, żeby... resztę ocalić. Zbójcy wzięli... ojciec w więzieniu... język mu wydarli — katy. A ja ledwie żywa zdołałam ujść rąk brutalnych... O Boże! jak w piersiach pali.

— Słuchaj krew ci ciecze, może ziół?...

— Nie! ja już... matko — matuniu — o tam domek wśród lip dziaduś stary, ta studnia... Jezu o — o — ha! przeklęci niech będą ojca mojego i mnie oprawcy!!!

— Amen — rzekł cicho pustelnik, poczem zamknął zimne powieki nieszczęśliwej. Po twarzy jej rozlał się pewien spokój kamienny, przestraszający swą trupią wyrazistością.

Promienna kula księżyca, wejrzawszy dyskretnie przez zarośla, padła pękiem promieni bladych na jej lice i zapaliła na niem jakąś świetlaną aureolę męczenniczki.

Starzec, spuściwszy mleczne czoło na piersi, ukląkł i zaczął odmawiać modlitwę, a wtórował mu niewinny chór ptasząt łączący akordy swoich pieni z posępnym jednakim szumem drzew — i spokój przyrody tętniący bezdźwięczną pieśnią umarłych...

*

Noc była.

Na ciemnym lazurze niebios czarne, brzemienne ulewą chmury mkną leniwie smagane ostrym podmuchem wichru. Burza błyskawicowym biczem smaga zawichrzone niebo. Grzmoty wspomagane i głuszone częstymi piorunami tworzą jakąś piekielną muzykę, przy której hula, wesoło pokrzykując czasem, gość niebieski, burza. A wszystko wokoło było zarazem pogrążone w trwożnej ciszy. Tylko zamek stał, urągając grzmotom, piorunom i niebiosom, wyniosły rozbrzmiewający głośnemi okrzykami. Nagle przy oślepiającym blasku błyskawic pokazała się biała postać człowieka pochylonego pod ciężarem, spoczywającym mu na rękach...

— Ot burza na dworze! ale co pijmy — tam się Bóg złości a my się radujem — tak to mówił pan na zamku, podparłszy się jedną ręką pod boki a drugą trzymając puhar napełniony po brzegi.

Ale brać nie podzielała jego radości. Jakiś dziwny smutek odebrał im ją. Za każdym piorunem wzdrygali się i trwożliwie spoglądali po sobie. Gdy tak, maskując wesołość, ucztowali, otworzyły się nagle drzwi komnaty i w progu stanął jakiś starzec, trzymając coś na rękach:

— Pustelnik! — wionęło po przerażonych ustach.

— Co on ma! — Trup... trup... dziewica — szeptali.

— Znacie!? — rzekł dobitnie starzec i odkrył zsiniałe ciało, pokrwanione... — Ha! cóż! czemu tak się trwożycie? wszak to tylko trup, nic tylko trup. Czyż wy, którzy mordujecie żywych, obawiacie się umarłych? Oto jeszcze jeden dowód waszych zbrodni...

— Co ten starzec tu urąga! — bacz, by cię mój gniew nie zdruzgotał... ha pustelnik... świątobliwy... czy myślisz, że ja, to ci, co tak się trwożą... ja się nie boję, cóż to tyś... taksamo ścierw... jak inni!!!! — ryknął, ledwie mogąc mówić z wściekłości herszt.

— Słuchaj, obelgi ni groźby twoje mnie nie trwożą... bowiem jako moc od Boga mam, przyjdzie czas mówię ci, że... skończą się twoje zbrodnie. Zważ tedy, nim pierwszy kur zapieje, to... módl się, może to ci oświetli nieco ciemną drogę wieczności.

Po tych słowach zamilkł starzec...

Burza już przechodziła.

Wszyscy słuchali w oczekiwaniu trwożnem. Świt szary zbielił zamek, gdy wtem z uśpionej wioski, dało się słyszeć złowieszcze jękliwe pianie koguta... i...

Na drugi dzień, słońce płynąc przez swą zwykłą drogę, dłużej zatrzymało swe lica na poszarpanych skałach, dziwiąc się, że kamienne baszty znikły gdzieś i nie urągały mu tak, wżynając się aż w szlak jego, i tej ciszy, która dzwoniła, w przestworzu, i wspominała o tem, co było... *Barnaś Kazimierz.*

Prządki odrzykońskie.

W odległości 7 km. od Krosna, w stronie północnej, znajdują się na pokaźnem wzgórzu olbrzymie ruiny w Odrzykoniu. Zajmują one pierwsze miejsce z pośród ruin dawnych warownych zamków, toteż zwiedzają je chętnie wycieczki naukowe i turyści, dla ich pięknego położenia. Zamek ten należał ongiś do możnej rodziny Kamienieckich. Zbudowany w wieku XIV. zburzony został w r. 1657 przez Rakoczego, księcia siedmiogrodzkiego. Zbudowany na stromych ścianach skały z olbrzymich bloków kamiennych, zaopatrzony potężnemi basztami, których resztki widoczne są zdaleka i grubym murem opasany, a zabezpieczony mostami zwodzonymi stanowił on potężną fortecę, podnóże której pokrywał gęsty las. Był on warownią i siedzibą pana zamku. Z ruin tych, które z powodu swego ogromu robią imponujące wrażenie, rozciąga się piękny widok na dalekie okolice. W niedalekiej odległości od zamku, nieco ku północy, znajdują się 3 skamieniałe monolity, o dziwacznych kształtach, przypominające postacie ludzkie, t. zw., ‚Prządki". Według legend ludowych historja „Prządek" przedstawia się następująco:

Mądry, bogaty i waleczny pan zamku, wyruszył na potrzebę wojenną, wziąwszy ze sobą załogę. W wojnie poległ bohaterski pan, załoga zaś wróciła w wielkim smutku i żalu, donosząc o smutnym wypadku żonie, pani zamku, która pozostała w nim z 3-ma młodemi, pięknemi córkami. Na zamku powstał lament i krzyk. Żałoba nie trwała jednak długo. Wkrótce potem przybywają do zamku 3 urodziwi rycerze w złocistej zbroji, spotykają wszystkie 3 córki przy kądzieli i od pierwszego wejrzenia spodobali się pannom. Ponieważ panny były cudnej urody, więc owi trzej rycerze niedługo się namyślając, prosili matkę o ich rękę. Matka jednak od chwili, gdy mąż jej poległ w bitwie, poczuła dziwny wstręt do rycerzy i postanowiła nie wydawać za mąż żadnej z 3 córek za rycerza, w obawie, aby którą z nich nie spotkał podobny los, co ją. Nie przyjęła więc oświadczyn rycerzy pomimo próśb córek i rycerze odjechali z niczem.

W jakiś czas potem zjawia się na zamku czterech konkurentów ubranych z cudzoziemska, po błazeńsku w strój obcisły, krótki, z kryzami pod szyją, długim włosem i kozią bródką. Służba zamkowa na widok takich gości serdecznie się śmiała, zwłaszcza że, jeden z nich trzymał w ręku gitarę, drugi dwie małpy, trzeci pieska a czwarty flet. Pani zamku, która namiętnie lubiła muzykę, zapomniała do reszty o śmierci męża, chętnie gości przyjęła i oświadczyła córkom, że są to stosowni dla nich kawalerowie i że wyjdą za nich za mąż, rezerwując jednakże jednego z nich, flecistę, dla siebie.

Zamek był bogaty i zamożny, niczego nie brakowało, toteż bale, muzyka, tańce trwały bezustannie. Za przykładem pani poszła też i służba i załoga zam-

kowa. Już nie strzeżono wałów, bramy stały otworem, zamek został bezbronny. Załoga idąc za modą — chowała tylko pieski i papugi. W oznaczony dzień odbyły się cztery śluby naraz. Wesołe życie w komnatach trwało dalej, mężowie przędli razem z kobietami kądziel a byli tak odważni, że kazali nawet pousuwać konie ze stajen, aby ich swem rżeniem nie straszyły.

Jednego dnia zauważyła pani czarne dymy nad górami i owładnęło nią złe przeczucie, że to pewnie Tatarzy palą i rabują. Mąż, flecista, uspakajał ją, że choćby nawet byli Tatarzy, to im przecież krzywdy nie zrobią, bo żyją z wszystkimi w zgodzie, Tatarów nie zaczepiają, więc zostawią ich w spokoju. Pani jednak nie uspokoiła się. Nagle nocą napadli na zamek Tatarzy. Załogę i mężczyzn znajdujących się na zamku w pień wycięli a kobiety skrępowali powrozami, aby zabrać je w jassyr, między niemi panią zamku i trzy córki.

Ograbiwszy zamek z wszelkich kosztowności, podpalili go i już mieli wyruszyć w dalszą drogę, gdy nagle zjawiają się trzy wspaniałe hufce rycerzy z skrzydłami u ramion, całe zakute w stal a każdemu hufcowi dowodził rycerz w złocistej zbroji. Hufce te uderzyły na Tatarów z taką siłą, że wkrótce zachwiały się szyki nieprzyjacielskie. Bój zażarty trwał 3 dni. Padło tyle trupów, że krew płynęła strumieniem. Uczciwie poturbowani Tatarzy umknęli trzeciego dnia, zostawiając jeńców, których nie zdołali zabrać ze sobą, wśród których znajdowała się pani zamku i jej trzy córki.

Odzyskawszy wolność, chciały kobiety podziękować zbawcom, a nawet wysłały posłańców, aby ich odszukać, błagać o przebaczenie, poznały w nich bowiem owych trzech rycerzy, którzy ubiegali się o rękę córek i ci niepomni o podanej im czarnej polewce i mimo wszystko pospieszyli z pomocą. Poszukiwania jednak za nimi były daremne, polegli bowiem wszyscy trzej w walce. Towarzysze broni zabrali ciała bohaterów, a wykopawszy trzy groby, ułożyli ich w nich na wieczny spoczynek. Gdy się córki dowiedziały o śmierci bohaterów-wybawców ogarnął nimi taki żal i rozpacz niewypowiedziana, że z żalu nie mogły nawet już płakać, załamały tylko ręce i z niezmiernego bólu — skamieniały. Według legendy te trzy skamieniałe monolity, są owe właśnie skamieniałe trzy córki, zwane pospolicie „Pizządki“. *Piotr Wenc.*



Poradnik gospodarczy.

W każdej choćby najuboższej gminie mamy pewną ilość nieużytków i pastwisk gminnych, które nie przynoszą prawie żadnej korzyści. Sprawa umiejętnego wykorzystania tych pastwisk gminnych, jest sprawą piekącą, gdyż może przynieść olbrzymie dochody polskim wsiom i podnieść racjonalnie hodowlę bydła naszego wieśniaka.

Dziś na tych jałowych pastwiskach wypasa się wspólnie kilkadziesiąt sztuk chudego bydła, a prowadzona racjonalnie w tym względzie gospodarka dałaby dostateczną ilość paszy dla kilkuset sztuk bydła, dobrze odżywianego i przynoszącego daleko więcej zysku z nabiału lub mięsa. Wprawdzie wiele gmin przy pomocy rządu stara się tę piekącą sprawę uporządkować, ale wobec ogromu tych nieużytków jest to kroplą. Dlatego dziś, kiedy pojawia się u naszego rolnika chęć posiadania jak najwięcej ziemi — należy zwrócić jego uwagę, iż bogactwo jego zależy nie od ilości ziemi, ale od jakości uprawy i rozumnego wyzyskania posiadanej ziemi i od postępowania z postępem. Gmina posiadająca nieużytki powinna dążyć wytrwale do zamienienia ich na pola czy łąki urodzajne, służące do wspólnego użytku i przyczyniające się do podniesienia chowu bydła. Dziś nie wystarcza dążyć do rozparcelowania, twierdząc, iż każdy potrafi własną pracą zamienić nieużytki na łąki czy pastwiska lepsze, ale poznać iż wspólnemi siłami całej gminy a nawet okolicy, da się zmienić wzglęnie użytkować je właściwie.

Jednostka poza swoją usilną i wytrwałą pracą nie może mieć ani funduszów, ani otrzymać takiej pomocy i opieki rządu jak praca prowadzona w tym kierunku przez gminę lub kilka gmin w postaci spółki lub jakiegoś zrzeszenia, które może sprawę powyższą tak poprowadzić, iż mimo iż właściwie nic się nie zmieni (nieużytki pozostają wspólną własnością), korzyści osiągnięte z tego źródła są stokroć wyższe niż osiągnięte prze pracowite jednostki.

Często nieużytki powyższe należy zapomocą meljoracji fachowej, przekopania wspólnych rowów należycie uregulować lub przeprowadzić odpowiednie próby nawożenia środkami sztucznymi, a na to nie może sobie w dzisiejszych czasach pozwolić jednostka, choćby nawet względnie zamożna, gdyż próby takie wymagają często kosztownej robocizny lub nawozów, a nawet nasion do odpowiednich upraw. Zaś na to pozwolić sobie może tylko odpowiednia w tym celu zawiązana spółka pastwiskowa.

Że sprawa poruszona w powyższym artykule jest bardzo ważną, chyba każdy mi przyzna. Dziś, gdy ziemi nie przybywa, zaś ludzi rodzi się coraz więcej, należy rozpocząć pracę, aby te setki a nawet tysiące ha nieużytków należycie zużytkować i tę naszą jedną z najbardziej piekących spraw, o której tyle się pisze należycie rozwiązać. *Jan Matysik.*

Poradnik lekarski.

Oparzeliny, popalenia, poparzenia. Przy oparzelinach nie wiedząc co począć, często traci się dużo czasu, zanim lekarz przybędzie. Zaradza się temu następująco: zeskrobać zwykłego mydła do prania, rozczynić we wodzie na miazgę, nałożyć ją grubo na kawałek płótna, okrywając niem oparzeliny. Ból ustaje potem bardzo rychło. Jeżeli zjawi się znów, to należy ponowić opatrunek. Prosty ów środek wystarcza najczęściej do zupełnego zagojenia rany. Wcześnie użyty, zapobiega on także i tworzeniu się pęcherzy. O ile popalenie jest głębsze lub wielka część tkanki skórnej zniszczona, to dodaje się do mydła trochę tynktury arnikowej. Dobrym środkiem przeciw oparzelizmom jest także mąka ziemniaczana czyli kartoflana, lub — jeżeli tejże niema zaraz pod ręką — surowe, roztarte kartofle. Kładąc popalony członek niezwłocznie w możliwie dużo mąki kartoflanej, to boleści ustają prawie natychmiast i tworzeniu się pęcherzy, zapobiega się.

(Dalszy ciąg w następnych numerach).

KRONIKA.

Świętokradztwo przez zemstę. Nieznani sprawcy włamali się do kościoła katolickiego w Podlesiu powiatu pszczyńskiego. Złoczyńcy skradli 12 komży, 2 srebrne lichtarze, oraz rozbili dwie srebrne skarbonki zawartości łącznej około 30 zł. Świętokradcy pozostawili na miejscu przestępstwa kartkę, napisaną w języku niemieckim. Treść kartki głosi, że włamania dokonali z tego względu, iż nie udało się im włamanie do gminy. Dochodzenia, prowadzone przy pomocy psa policyjnego, doprowadziło do ujęcia jednego ze świętokradców, Br. Domagały, bezrobotnego.

Odszkodowanie za „śmierć" teściowej. Ciekawy wypadek zdarzył się w Warszawie. Przy istniejącym tam Związku niższych pracowników pocztowych czynna jest kasa pogrzebowa, na której czele stali: jako prezes Michał Alfons Okrzeja, sekretarz Józef Piwnicki, kasjer Bolesław Przybysz i członek zarządu Ludwik Rawski. Czterej ci panowie tworzyli dobrze zgraną kompanję. Energiczni, pomysłowi, inteligentni, jednej tylko rzeczy nie mieli, mianowicie pieniędzy. Pewnego razu, siedząc nad kuflem piwa w restauracji, prezes odezwał się jakby od niechcenia:

— A gdyby tak „dla kawału" pochować kogoś z rodziny?

Przyjaciele przyjęli ten projekt przychylnie.

— Ja mogę oddać teściową! — zawołał Rawski.

I na tem stanęło. Formalności szybko załatwiono, a kochający zięć zjawił się w kasie pogrzebowej z dokumentami śmierci Anieli Wiśniewskiej, która skonała po krótkich, lecz ciężkich cierpieniach. Wypłacając 800 złotych na koszta pogrzebu, kasjer Przybysz szepnął Rawskiemu do ucha: „Wieczorem wódeczka!" Tegoż dnia koledzy podzielili się sprawiedliwie pieniądzmi. Każdy dostał po 200 złotych. Przez tydzień czuli się znakomicie, wstępując po pracy do knajpy. Ale pech zrządził, że Wiśniewska dowiedziała się jakimś cudem o intrydze. Zrobiła zięciowi piekielną scenę, nawet zagroziła mu sądem. Jednocześnie o wybryku wesołego zięcia dowiedzieli się pocztowcy i w rezultacie aresztowano czwórkę „pogrzebowców".

Miłość cygańska. W ubiegłym tygodniu zjechała do Warszawy banda cyganów, którzy zakwaterowali się w wagonach, wynajętych im przez dyrekcję stacji Warszawa-Praga. W jednym z wagonów zamieszkało małżeństwo: Toma i Chabaj Michaj. Pewnego dnia na samym ranem, do zawiadowcy stacji wpadła żona Toma, Chabaj i zameldowała, że mąż jej popełnił morderstwo w Łodzi. Natychmiast zaalarmowano posterunek policji. Przybyli policjanci otoczyli wagon i Tomę Michaj zaaresztowali. Po przeprowadzeniu śledztwa okazało się, co następuje: Michaj Chabaj, młoda i piękna, zdradzała od dłuższego czasu starszego od niej męża. Rozumie się, ze zdradzony, gdy dowiedział się o niewierności żony, w pierwotny nieco sposób, bo kijem, zaczął pouczać żonę o obowiązkach małżeńskich. Doprowadzona tem do ostateczności Michaj Chabaj, postanowiła pozbyć się choć na pewien czas męża i zameldowała policji, że jest on zbrodniarzem. W wyniku śledztwa ku przerażeniu Michaj Chabaj, męża jej zwolniono. Można sobie wyobrazić scenę, gdy aresztowany powrócił do swej żony.

Obfitość ryb. Od pewnego czasu dał się zauważyć w wodach morza polskiego znaczny wzrost połowu ryb, przedewszystkiem łososi. Pojawiły się również gatunki ryb, dotychczas nienapotykane w Bałtyku. Onegdaj u brzegów polskich złowiono rybę „gadus pollachinus", która żyje przeważnie w morzach północnych. Z przyrostem ryb zauważono również, że woda morza Bałtyckiego staje się coraz słońsza. Przyczyn tego niezwykłego zjawiska nie zdołano dotychczas stwierdzić. Obecnie przeprowadzane są nad tem zjawiskiem badania, przypuszczać należy, że pojawienie się ryb z obcych mórz, jak i poważny wzrost fauny Bałtyku, stoi w łączności z większą zawartością soli w wodzie. Gromadne występowanie łososia u brzegów polskich, jak i jego obfite połowy również tłumaczyć należy tem, że woda jest słońsza, niż w latach ubiegłych. Tak wielkich połowów łososi rybacy kaszubscy dawno nie widzieli — łowią je nawet przy nieprzychylnym dla połowu tej ryby wietrze północnym. Niektóre związki rybackie w jednym zaciągu niewodu przybrzeżnego zdobywały po kilkadziesiąt cetnarów dużych łososi. Toteż ludność całego wybrzeża cenną tę rybę gorączkowo łowi. Zwiększony połów wywołał spadek cen łososia, których cena 7 zł. za kilogram obniżyła się do 3—4 zł.

Miljon dolarów w sienniku. Pani Grant, właścicielka wielu nieruchomości, zamordowana niedawno przez dozorcę jednego ze swych domów w Rydze, pozostawiła majątek w kwocie miljona dolarów, ukryty „dla bezpieczeństwa" w sienniku w łóżku. Siostrzenica zmarłej miljonerki, przebywając w Genewie, ma udać się w tych dniach ze swym adwokatem do Rygi, celem podjęcia wspaniałego spadku.

Dyrektor więzienia wspólnikiem bandytów. Pisma kowieńskie zajmują się obecnie żywo wynikami śledztwa w sprawie niesłychanych skandali, jakich dopuścił się dyrektor więzienia w Birżach na Litwie kowieńskiej, niejaki Rodziewicz. Stanie on za swoje sprawki niebawem przed sądem, a obecnie pisma podają sensacyjne szczegóły z jego „działalności". Mianowicie Rodziewicz jeszcze w 1926 r. zorganizował z odsiadujących w więzieniu karę, szajkę bandycką, która za jego wiedzą dopuszczała się rabunków. Wypuszczał on więźniów grupami od 5 do 7 osób, nakreślał im plan akcji i uzbrajał w broń z arsenału więziennego. Więźniowie-bandyci napadali na drogach na przejezdnych i przechodniów, poczem z łupem wracali do więzienia, gdzie następował podział. Oczywiście przeważna część łupu dostawała się Rodziewiczowi. Trwał ten proceder blisko dwa lata, aż wreszcie sami więźniowie wydali swego szefa. Okazało się przytem, że Rodziewicz kilkakrotnie sam brał udział w napadach bandyckich, wyjeżdżając w tym celu w samochodzie.

Bolszewicy i wieś rosyjska. We francuskim dzienniku „Victoire" znany paryski publicysta André Lichtenberger, opisując zbrodnie i masakry, popełnione przez bolszewików w ciągu dziesięciolecia ich panowania, przytacza następujące między innemi ciekawe cyfry. Mianowicie zostało przez komunistów zamordowanych 31 biskupów i 1.560 księży, 34.586 nauczycieli wiejskich, lekarzy i urzędników samorządowych, 79.800 urzędników państwowych i t. d. Olbrzymia ilość robotników fabrycznych padła też ofiarą terroru bolszewickiego: zabito ich aż 196.000. Najwięcej jednak ucierpiała ludność wiejska - 890.000 włościan zostało rozstrzelanych, powieszonych lub zginęło z różnych chorób w kazamatach więzień rosyjskich. Ta ostatnia cyfra wymownie świadczy o tem, jak w raju bolszewickim dzieje się mieszkańcom wsi i na jakie prześladowania są oni tam narażeni ze strony rządu bolszewickiego. Dodać tu warto, że bolszewicy specjalnie uciskają chłopów, nakładając na nich ciężkie podatki, gnębiąc bezustannemi rekwizycjami zboża i chcą siłą przerobić ich na komunistów, to jest skasować samodzielne władanie ziemią a wprowadzić wspólnotę posiadania, przy której ziemia należałaby do całej wsi razem i przez wszystkich też była uprawianą, a zbiory równo między wszystkich dzielone.

Nowa choroba. Ostatnio na pograniczu polsko-sowieckiem, w rejonie Dawidgródka, pojawiła się nieznana dotąd chor(ba. Okoliczni mieszkańcy odczuwają bóle głowy, gorączkę oraz miewają silne krwotoki. — Dziesiątki rodzin dotkniętych jest tą tajemniczą chorobą. W tych dniach we wsi Merlińskie Hutory kilka rodzin zapadło na wspomnianą chorobę, po upływie kilkunastu godzin 3 osoby zmarły. Na miejsce wypadku przybyli lekarze specjaliści, którzy zajmą się zbadaniem tej nieznanej choroby.

Tajemnicza zjawa. W ostatnim czasie obiegła gazety szwedzkie wiadomość o mistycznej zjawie w oknie prastarego zamku Regnaholm w Szwecji. Wieść ta głosiła, jakoby widziano wyraźnie za szybą, i to w jasny, słoneczny dzień, oblicze majora Gallenkrok, prapradziada obecnego właściciela. Urodzony w r. 1775, uczestniczył major w licznych wojnach, zaś przez ostatnie 40 lat życia, będąc zupełnym kaleką, przesiadywał w owem oknie zamkowem, skąd roztaczał się wspaniały widok na malowniczą okolicę. Wyjaśnieniem tej tajemniczej zjawy zajął się wybitny fizyk szwedzki Dr Mohlin. Poddawszy starannemu badaniu szkło szyby, mającej lat 100 z górą, znalazł w niem glinę, ołów, żelazo i mangan, i tak oto wyjaśnia zjawisko: Ponieważ major przez długie lata siedział przy oknie w tej samej pozycji, twarz jego przeto znajdowała się stale w tem samem położeniu w stosunku do szyby i skutkiem odbicia promienia światła utrwaliła się na wrażliwej tafli szkła.

Bohaterskie zakonnice. Z Londynu donoszą: W przytułku dla starców w Hove, utrzymywanym przez żeński klasztor katolicki, wybuchł pożar. Przebywało tam 47 staruszków, wszyscy powyżej lat 80, wielu z nich zaś było chorych i sparaliżowanych. tak, że gdy dym i płomienie wypełniły salę, żaden nie mógł ratować się o własnych siłach. Dzielne siostry zabrały się energicznie do ratunku i nietylko same wyniosły wszystkich pensjonarzy w bezpieczne miejsce, ale ugasiły pożar jeszcze przed przybyciem straży ogniowej.

Sensacyjne kradzieże klejnotów. Międzynarodowi złodzieje klejnotów, których głównem polem działalności jest obecnie Francja i Anglja, w ostatnich dniach dokonali dwóch kradzieży na wielką skalę. Oto przed kilku tygodniami p. Bettencourt wyjechała do Monte Carlo. W pewnym lokalu tanecznym dama ta poznała wytwornie ubranego młodego mężczyznę, który postarał się o pozyskanie jej zaufania. Gdy pani Bettencourt pewnego wieczora powróciła z zabawy do hotelu, stwierdziła z przerażeniem brak kasety, w której znajdowały się jej wszystkie klejnoty, między nimi zaś wspaniała kolja. Wartość skradzionych klejnotów ma przenosić 2 miljony franków. Kradzieży dokonano niewątpliwie w ciągu tych kilku godzin, które bogata wdowa przepędziła w lokalu tanecznym. Tam miał się zjawić ów młody jej adorator. Nie przybył jednak, wobec czego nasuwa się przypuszczenie, że złodziej ów w czasie, gdy pani Bettencourt przebywała na zabawie, wykorzystał jej nieobecność, celem obrabowania jej z biżuterji. — Prawie równocześnie z tą kradzieżą klejnotów w Nizzy, londyńscy przestępcy, których specjalnością jest obrabowanie sklepów jubilerskich, dopuścili się wielkiej kradzieży, przeprowadzonej jednak w inny sposób. Na wystawie firmy jubilerskiej Hirschfeld w Hatton-Garden znajdowały się klejnoty przedstawiające olbrzymią fortunę. Oczywiście właściciele sklepu starali się strzec swojego mienia przed atakami złodziejaszków. Dwaj stróże nocni czuwali przez całą noc, a trzeci stróż spał w sklepie, a jednak bandzie włamywaczy udało się wtargnąć do wnętrza i tam się sowicie obłowić. Sprawcy włamania zabrali się do rzeczy z ogromną chytrością. Na pierwszem piętrze domu, gdzie znajdują się biura firmy, posiada swoją siedzibę pewne towarzystwo akcyjne. W kancelarji tego towarzystwa od pewnego czasu przeprowadzane były roboty celem przebudowania lokalu. Onegdaj koło godz. 9 wieczorem, a zatem w czasie kiedy urzędnicy dawno wyszli z kancelarji, przed dom zajechało auto ciężarowe, z którego wysiadło kilku murarzy i kilku mechaników. Ustawili oni drabinę, wyjęli swoje narzędzia murarskie i po drabinie weszli na pierwsze piętro. Obaj stróże nocni jak najspokojniej temu się przypatrywali, przekonani, że chodzi tutaj o roboty w lokalu towarzystwa akcyjnego. Przez jakiś czas mechanik pilnie manipulował coś przy zewnętrznej ścianie budynku, chcąc widocznie zupełnie uśpić czujność stróżów, a potem spokojnie udał się z innymi wspólnikami na piętro, podczas gdy jeden z przybyszów pozostał na ulicy i wdał się w rozmowę ze stróżami.



Tamci dostali się przez korytarz do sklepu jubilera, odurzyli chloroformem śpiącego stróża a następnie przyniesionemi przyrządami rozpoczęli świdrowanie ogniotrwałych kas, w których przechowywano klejnoty. Następnie tą samą drogą opuścili lokal, unosząc ze sobą olbrzymi łup, nie dający się narazie policzyć, wsiedli do auta ciężarowego i odjechali.

Romantyczna Włoszka w mundurze. Milicjant faszystowski, pełniący służbę na stacji w Lambrate, w Lombardji stał się mimowoli odkrywcą romantycznej historji. Signorina Lucja S. zakochała się w młodym, pięknym żołnierzu artylerji, który służył w Lambrate. Naraz pewnego dnia przyszedł rozkaz, że oddział ma odjechać natychmiast do Gorycji.

Panna Lucja wpadła w rozpacz. Pożegnać się z ukochanym? Może na wieki?... Nie, tak być nie może! Pojedzie ze swym Giovanim.

Działa załadowano już do pociągu, a odjazd miał nastąpić w nocy. Signora przebrała się w płaszcz i czapkę żołnierską i — usiadłszy w wagonie, udawała żołnierza wartownika. Sen ją jednak zmorzył i zasnęła. W takiej właśnie chwili zbliżył się do wagonu milicjant i — ujrzawszy, że wartownik śpi — trącił go w bok i zawołał:

— Kolega, śpisz?

Panna Lucja posunęła się, rozchylił się płaszcz i wyjrzał damski pantofelek — wraz z nóżką, odzianą w delikatną pończoszkę. Skończyło się na spazmach i odprowadzono romantyczną pannę do domu, a biedny narzeczony pojechał sam do Gorycji.

82-letni cyklista. Jeden z najstarszych cyklistów europejskich, Niemiec, Werner, liczący lat 82, opuścił w tych dniach miasto Trewir w Nadrenji, celem podjęcia podróży na rowerze dokoła Europy. Sędziwy sportowiec ma zamiar objechać 7.200 klm. Droga jego ma wieść przez następujące miasta: Berlin, Pragę, Wiedeń, Budapeszt, Belgrad, Rzym, Berno, Paryż i wrócić do Trewiru.

Zamach na pociąg w tunelu. Jak donoszą z Genewy, na przestrzeni linji kolejowej pomiędzy Küssnacht a Immenses znaleziono przy wyjściu z tunelu St. Gotthard puszkę z materjałem wybuchowym, którą przejeżdżający pociąg zgruchotał nie wywołując jednak szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wybuchu. Dochodzenia wykazały, że zawartość puszki wystarczała do wysadzenia całego pociągu w powietrze. Władze szwajcarskie wyznaczyły nagrodę za odszukanie sprawców zamachu. Ogólnie twierdzą, że zamach ten był skierowany przeciwko Włochom, którzy obecnie masowo przejeżdżają tą linją.

Największe koło wodne. Największe na świecie koło wodne znajduje się w Syrji, kraju w Azji Mniejszej, w pobliżu ruin starożytnego miasta Hama. Koło to zrobione jest z drzewa mahoniowego.



Jak jest olbrzymie, widać na naszym obrazku, gdyż w pobliżu koła znajdują się postacie ludzkie. Ma ono 25 metrów średnicy, pędzone jest falamj rzeki Orontes, a służy do zaopatrywenia w wodę mieszkańców miasta Hama.

Osobliwy dowód miłości. Ostatniemi dniami w Baltimore rozegrał się proces sądowy, którego aktorami była para kochanków, Marie Thomas, lat 16 i Pedro Gama, lat 22. Mianowicie Pedro Gama w szale miłosnym do Marie wyciął sobie jej imię na piersiach, a następnie zaproponował swej kochance wycięcie swych inicjałów na jej czole. Nie wiadomo, czy dziewczyna zgodziła się na tę propozycję dobrowolnie, czy też pod przymusem, dosyć, że propozycja ta stała się faktem dokonanym. Po kilkunastu dniach, gdy płomienna miłość wystygła w obojgu, napiętnowana na czole literami „P. G.“ Marie zjawiła się w policji i oskarżyła swego kochanka o oszpecenie jej. Na pytanie sędziego, skierowane do Pedra, dlaczego to uczynił, oświadczył on spokojnie:

— Chciałem jej okazać swą miłość i związać ją ze sobą na wieki.

Tłomaczenie to widocznie nie przekonało sędziego, gdyż skazał Pedra na rok więzienia. Jeden z magistrów piękności, do którego udała się po procesie Marie o poradę, obiecał jej naprawić krzywdę wyrządzoną przez głupiego kochanka.

Śmierć za uratowanie życia. W r. 1923 piętnastoletni wówczas Józef Kamiński, stały mieszkaniec Scranton w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn., wskutek niebezpiecznego zranienia nogi zardzewiałym gwoździem, poddany został jej amputacji niemal do kolana. Chłopiec został kaleką, bolejąc nad doznanym „dopustem Bożym“, tembardziej, że znajome jego matki, kobiety ciemne, twierdziły, że lekarze mogli uratować nogę przez zastosowanie jakichś babskich leków. Te głosy, powtarzające się przez kilka lat tak dalece podnieciły nienawiść Kamińskiego do lekarza Dra Kelly, który uratował mu życie od niechybnej śmierci skutkiem gangreny, że postanowił go zamordować. Zamiar swój wykonał Kamiński przed dwoma tygodniami w korytarzu miejscowego teatru podczas przerwy w przedstawieniu. Rozumie się, że go natychmiast aresztowano i oddano do dyspozycji sądu, który będzie miał trudne zadanie do rozstrzygnięcia kto jest więcej winien morderstwa, czy Kamiński, czy też nierozumne znajome jego matki przez swoje głupie bzdurzenie.

Szczęśliwy mąż dwóch żon. Jakże często zawierają ludzie małżeństwa „na ślepo“. On nie zna jej, ona jego, nibyto się kochają i po kilku wspólnie spędzonych wieczorach na tańcach stają na kobiercu ślubnym, przysięgając sobie dozgonną miłość. Ten rodzaj małżeństwa wypraktykowała na własnej skórze 19-letnia studentka uniwersytetu chicagowskiego, Sylwia Kłos. Na jednym z wieczorków poznała ona obrotnego, sympatycznego Amerykanina, Roberta Fairbanksa i po kilku mile spędzonych wspólnie wieczorach wyszła za niego zamąż. Fairbanks miał być z zawodu agentem podróżującym. Co kilka dni znikał z małżeńskiego gniazdka i po dalszych kilku dniach wracał strasznie zmęczony swą... pracą. Młoda żoneczka z konieczności musiała się godzić na taki rodzaj pożycia małżeńskiego, które płynęłoby w dalszym ciągu niczem nie zamącone, gdyby pewnego dnia nie wpadła jej do rąk kartka napisana przez Roberta, a zawiadamiająca jego matkę, że może go zastać w domu przy ul. Ogden pod numerem 2929. Kartka ta zaintrygowała panią Sylwję, ponieważ w tym czasie właśnie Robert wyjechał „w swoją zwyczajną podróż komiwojażerską“. Dla uzyskania wyjaśnienia pani Sylwja udała się pod wskazany w karcie adres i... stwierdziła, że mąż jej od dwóch lat żyje przykładnie jako mąż 21-letniej Lucilli z domu Price. Obydwie ślubne żony zamiast robić sobie sceny zazdrości, wyrywać sobie włosy z głowy, jak to bywało w takich wypadkach dawnymi czasy, porozumiały się natychmiast i wynajęły wspólnie adwokata, który stara się o rozwód dla obydwóch. Tymczasem Fairbanks siedzi w więzieniu i oczekuje wyroku sądowego za dwużeństwo.

Najlepszy strzelec świata. W tych dniach umarł w Ameryce Dr. W. F. Carver, który był najlepszym strzelcem w świecie, licząc 60 lat życia. Specjalność Carvera stanowiły żubry; z tego tytułu cieszył się nieszczególną sławą u Indjan, którzy dali mu przydomek „Zły duch równin“; w istocie niszczył nieubłaganie olbrzymie stada bizonów, które im dostarczały pożywienia. Sam opowiadał, że w ciągu życia zabił ich 30 tysięcy; jednej zimy zastrzelił 5.700, a jednego dnia 160 sztuk. Szczęście sprzyjało Carverowi, niejednokrotnie jemu i jego towarzyszom groziła śmierć z ręki szczepów indyjskich, zawsze udało mu się wyjść cało z rozlicznych zasadzek; kiedy jednak linja kolejowa połączyła San Francisco z Nowym Jorkiem, karjera strzelca skończyła się. Wówczas Carver zetknął się ze słynnym Buffalo Billem i wystąpił z nim wspólnie na arenach Ameryki i Europy, wprawiając w podziw swą niepospolitą wprost zręcznością w strzelaniu do celu. Jeden z ulubionych jego popisów polegał na rzucaniu w górę cegły, rozbijaniu jej kulą rewolwerową na cztery lub pięć części, a następnie na roztrzaskaniu każdej kulami na drobne kawałki, nim zdążyły spaść na ziemię. Słynne również były jego dowody zręczności przy strzelaniu do szklanych kulek. W 1885 roku na jednym z popisów w ciągu sześciu dni rozbił 10 tysięcy szklanych kulek, rzucanych przez siebie w powietrze. W dziedzinie strzelania uważano go za rodzaj nadczłowieka.

RZECZY CIEKAWE.

Ciekawe obliczenia.

Jeden ze szperaczy niemieckich, mający prawdopodobnie dużo wolnego czasu, poczynił następujące oryginalne obliczenia: Przyjąwszy przeciętną wagę człowieka na 60 kilogramów (dorosły mężczyzna waży znacznie więcej, ale że bierze się w rachubę kobiety i dzieci), otrzymawszy wagę wszystkich ludzi, zamieszkujących kulę ziemską w liczbie półtora miljarda osobników — na 90 miljardów kilogramów. Dla przewiezienia tej liczby ludzi byłoby potrzeba 120.000 pociągów towarowych, każdy złożony z 50 wozów. Do zapakowania mas ludzkości byłaby potrzebna skrzynia, mająca tylko po 675 km. długości, szerokości i wysokości. Ludzie leżeliby w niej, ma się rozumieć, ściśnięci jak śledzie.

W Niemczech zostaje dziennie wypalonych mniejwięcej 20 miljonów papierosów. Gdyby z nich dało się zrobić jednego papierosa, to sięgałby na poprzek przez całe Niemcy od jednej granicy do drugiej.

Złoto w bankach Europy.

Zapasy złota w bankach Europy wynoszą około 3.7 miljarda dolarów. W tym względzie na pierwszem miejscu idzie Francja, której zapasy złota wynoszą około 800 miljonów dol. Następnie idzie Anglja, posiadająca około 732 miljonów dolarów złota; trzecią z kolei bogaczką jest Hiszpanja, której rezerwy złote wynoszą przeszło 500 miljonów dolarów. Dopiero na czwartem miejscu idą Niemcy z rezerwami złota w wysokości 450 miljonów dolarów.

Te cztery państwa razem mają zapasów złota na sumę dwa i pół miljarda dolarów. A więc na pozostałych kilkanaście państw przypada zapasów złota zaledwie jeden i jedna czwarta miljarda dolarów, z których małą cząstkę posiada też i Polska.

Liczba kalek w Polsce.

Siedemdziesiąt pięć tysięcy kalek w naszym kraju notują statystyki urzędowe. Mianowicie ślepych jest 16.440, głuchoniemych 33.866, pozbawionych nóg lub rąk, a więc po większej części inwalidów wojennych 24.995.

Najwięcej ślepców mamy w województwach wschodnich (9 na 10 tys. mieszkańców), najmniej na Śląsku Cieszyńskim (3.7 na 10 tys.). Najwięcej głuchoniemych jest w województwach południowych (19.4 na 10 tys.) najmniej w wojew. zachodnich, Poznańskiem i Pomorskiem (11 na 10 tys.). Najwięcej kalek bez nóg lub rąk mają województwa wschodnie (13.2 na 10 tys.), najmniej wojew. centralne (8.6 na 10 tys.).

Ilość bydła w Polsce.

Dla wyjaśnienia możliwości eksportowych i wzrostu zagospodarowania włościańskiego, władze administracyjne przeprowadziły w całej Polsce spis inwentarza żywego, tj. koni, bydła rogatego, trzody chlewnej i owiec. Obecnie Główny Urząd statystyczny podsumował cyfrowe wyniki spisu.

Mamy tedy na terenie całej Polski — 4,128.221 koni (z czego 57.869 koni wojskow.), 8,570.667 krów, 6,391,203 sztuki trzody chlewnej i 1,917.392 owiec.

Województwo lubelskie jest najbogatsze w konie, warszawskie i lwowskie w krowy, poznańskie w trzodę chlewną, poleskie zaś w owce.

Pracowitość pszczół.

Niestrudzeni aż do dziwactwa statystycy amerykańscy stwierdzili, że na to, by zebrać jeden kilogram miodu, pracowite pszczoły muszą spijać nektar z 6,000.000 kwiatów czerwonej koniczyny, lub z 6,000.000 kwiatów akacji. Najsłodszym okazuje się groch, gdyż na zebranie kilograma miodu wystarczy tylko 80.000 jego kwiatów. Te obliczenia dotyczą tylko ciepłej i słonecznej pogody. W razie deszczów potrzebna jest 3 razy większa ilość kwiatów.

Kiedy śpimy najmocniej.

Prof. Johnson z Pittsburga poddał w Instytucie psychologicznem badaniom 11 studentów, którzy spali od godziny 11 wieczór do 7 rano. Przy każdem łóżku znajdował się specjalny aparat kontrolny, notujący głębokość snu, podświadome ruchy i t. d. Prof. Johnson stwierdził, że najważniejsze i najbardziej pokrzepiające są dwie ostatnie godziny przed obudzeniem się. Aparaty pomysłu prof. Johsona stwierdziły ponadto, że przeciętnie człowiek każdy śpi tylko 11 i pół minuty bez ruchu. Studenci poddani badaniom poruszyli się około 33 razy w ciągu nocy. Tylko 1 ze studentów leżał bez ruchu 3 godziny.

Zmarli ze strachu.

Wiadomo, że strach nieraz może się stać bezpośrednim powodem śmierci. Tak np. król pruski, Fryderyk I., drzemiąc kiedyś na fotelu, tak się przeraził nieoczekiwanem przybyciem swojej żony, Ludwiki, która była warjatką i uciekła z pod opieki tych, którzy jej pilnowali — że wyobraził sobie, iż jest to zjawa „białej damy“, której przybycie zawsze zwiastowało śmierć jednego z książąt z rodu Brandenburgów. Na skutek tego przeświadczenia król dostał bardzo silnej gorączki, która stała się powodem zgonu. W ciągu sześciu tygodni Fryderyk zmarł, mając zaledwie 56 lat. Malarz niemiecki, Pentermann, zmarł w r. 1651 z przerażenia na widok poruszających się szkieletów, które wprawiło w ruch trzęsienie ziemi. Niejaka Guerchi, córka hrabiego Fiesque, zmarła w r. 1672, przeraziwszy się ognia. Marszałek Montrevel był o tyle niezręczny, że podczas obiadu galowego rozsypał z solniczki sól. To go przestraszyło tak dalece, że zmarł po paru dniach; było to w r. 1716-tym. Bardzo smutny miał koniec angielski węglarz-muzyk, Tomasz Britton, założyciel klubu muzycznego w Anglji, zmarł on w dwa dni po niewłaściwym dowcipie, jaki mu zrobiono; mianowicie pewien brzuchomówca zapowiedział jego ostatnią godzinę.

Miasto podziemne.

Już od przeszło 80-ciu lat żyją mieszkańcy Budateleny, położonego w pobliżu Budapesztu, w przestronnych jaskiniach wapiennych. Około 1848-go roku pewna ilość mieszkańców — pozbawiona, naskutek gwałtownej powodzi, dachu nad głową — przenosiła się do tych podziemnych schronisk, które z biegiem czasu uczyniła swoją stałą siedzibą... Ludzie ci zadowoleni są ze swego oryginalnego umieszczenia, ponieważ jest ono, podobno, bardzo ciepłe w zimie, a przyjemnie chłodne natomiast w lecie... Nie mówiąc już o poważnych oszczędnościach na... komornem! Śmiertelność wśród dzieci jest anormalnie wielka, z drugiej jednak strony okazuje się, że dorośli żyją znacznie dłużej pod ziemią, aniżeli na ziemi. Jaskiniowcy utrzymują się przeważnie z hodowli na szeroką skalę grzybów, które w tej atmosferze rozmnażają się szybko i dobrze.

Humor obrazkowy.



— Marcinowa, a zdrowi u was wszyscy w chałupie?

— Bogu dzięki, zdrowi — jeno ta czerwona krowa ciągiem slabuje.

— Że też to waszej familji ciągiem jakieś choróbska się trzymają!

Odpowiedzi Redakcji.

Na konkurs dla poetów: w dalszym ciągu (do dnia 22 b. m.) nadesłali swe utwory pp.: Edward Cygan z J., Jan Osucha z S., Jan Majewski z K., Henryk Biłka-Głębicki z S., Antoni Szymański z H., Jan Majka z Z., Jan Michalik z S., Kazimierz Jucha z Ż., Juljan Kwolek z S., W. Pasierb z Cz., Maryla „Widz" z O., Walenty Rejtan z M. — **„Wuwu-Kujawski":** Obydwa nadesłane utwory dobre, więc chętnie je zamieścimy. A możeby Pan znów napisał jakąś dłuższą powieść z życia ludu wiejskiego tak, aby ją można było ilustrować? — **Franciszek Lewandowski** w U.: Zamieścimy w następnpm numerze. — **Maryla „Widz"** w O.: „Potęga słowa" będzie drukowana. Łączymy serdeczne pozdrowienia. — **Karol Syposz** w R.: Zagadki dobre, nie możemy jednak powiedzieć, kiedy będą drukowane, gdyż najpierw musimy drukować te, które dawniej nadeszły. — **Lazar Birnbach** w K.: „Zabiłem!..." — rzecz choć krótka, ale niezła. Niech Pan spróbuje napisać coś dłuższego tak, żeby wypełniło całą stronnicę „Roli". — **E. Kłonicki** w Z.: Nadesłane wierszyki zupełnie dobre, przeznaczamy je więc do druku. — **Jan Dudek** z P.: Kalendarz przesłaliśmy Panu 12 marca. Niech się Pan upomni na poczcie. Cześć! — **Mateusz Wilk** ze Zwiżynia: „Rolę" wysyłamy we czwartek i w sobotę, powinien Pan otrzymać. Przetrzymują Panu w gminie. Zapytamy się poczty, czy do gminy regularnie wydaje. — **Jan Szybowicz** w N: Za tak miły dla nas list i cenne uwagi serdecznie jesteśmy wdzięczni. „Rola" stara się być nietylko pouczeniem i rozrywką dla wszystkich rzesz czytelników, ale i szkołą dla ich twórczości, dlatego też może poziom jej jest niższy, może niżby być powinien. Łaskawą obietnicę współpracy przyjmujemy z pełnem zadowoleniem, gdyż o talencie p. Haliny świadczą pochlebnie nadesłane nam wiersze. Czekamy! — **Bronisław Mikowski** w R.: Owszem, niech Pan przyśle, a zobaczymy.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Rudolf Kopoczek z Mazańcowic dla Maćka 60 gr., Anna Heczko z Ustr. dla Maćka 80 gr. jako nagrodę za jajka zabrane przez Kaśkę, Jan Żmuda z Przecieszyna 1 zł dla Maćka.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 20 kwietnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·10 do 1·88 zł.	Jałownik	od 1·20 do 1·80 zł.
Woły	od 1·30 do 2·00 zł.	Cielęta	od 1·33 do 2·12 zł.
Krowy	od 0·80 do 1·75 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·00 do 2·30 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·40 do 2·90

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Antoni Frączek z P.).

■ ☆ ■ ☆ Niebezpieczne dla okrętów.
■ ☆ ■ ☆ Rzeka w Europie.
■ ☆ ■ ☆ Inaczej razem.
■ ☆ ■ ☆ Część składowa domu.
■ ☆ ■ ☆ Inaczej Polak.
■ ☆ ■ ☆ Wstecz głos ptaka.
■ ☆ ■ ☆ Rzeka w Europie.
■ ☆ ■ ☆ Zaimek pytający.
■ ☆ ■ ☆ Imię męskie.

Litery umieszczone w miejsce kwadracików dadzą nazwę ważnego wypadku historycznego.

2. Szarady.

(Ułożyła E. Wysłychówna z L.).

I.

Pierwsze trzecie do połowy
Na winnych spadają głowy,
W wykonaniu do usługi
Staje pierwszy i pół drugi.
Trzecia czwarta skwarek pełna,
Dla Maciusia uczta pewna
Niczem dla niego całości tony
Byleby tylko był nasycony.

II.

W lwiej paszczy szukaj pierwszego
W zapusty słuchaj drugiego trzeciego
Idź w tany ile możności
A w śwince szukaj całości.

III.

Wspak pierwsze w wodzie znajdziecie,
Drugie i trzecie gdy was przygniecie
Pracy i trudów, ulgi szukacie
W całości czasie zaraz ją macie.

3. Zagadki.

(Ułożył Jakób Pasierb z K.).

I.

Polski poeta + spółgłoska = państwo.

II.

Miara ziemi + zaim. dzierż. + zaim. wskaz. = broń.

III.

Wydzielina skórna + karta do gry = substancja chem.

IV.

Wykonawca wyroku + miara ziemi = choroba.

V.

Dzikie zwierzę + zwierzę domowe + zaim. osob. = roślina.

4. Adres.

(Ułożył Herman Tadenier).

Sp.
Edzio Kura Jurek Idiot
Warszawa
(Koło „Benity Morstłę").

Z adresu tego ułożyć sześć zajęć.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 5 maja br.
Znaczenie zagadek z Nru 16 „Roli": 1. Logogryf: Krasicki Ignacy — Feliński Alojzy. 2. Szarady: Latarka, popielniczka. 3. Przestawianka: „Kiedy Cię trapią smutki i bole, weźmij naówczas do ręki „Rolę". Ta przyjaciółka, o Bracia moi, ulży boleściom, smutki ukoi!" 4. Łamigłówka: X. Kordecki 1655, X. Skorupka 1920.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Bylica z K., Gabrjel Wirstnik z Szcz., Piotr Wenc z S., Henryk Biłka-Głębicki z S., Józef Drąg z R., I. Zajączkowski z S., „Yoga" z K., Wł. Marko z K. i T. Sarnowicz z T.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Bylica z K. i Józef Drąg z R.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Anegdoty aptekarskie.

Do apteki na Podkarpaciu przychodzi góralczyk, prosząc o sól glauberską. Ponieważ sól taka istnieje w innym rodzaju dla zwierząt a w innym dla ludzi, aptekarz pyta:

— A dla kogo ma być sól, dla człowieka?

— E nie...

— Dla bydlęcia?

— Nie...

— Więc dla kogo właściwie?

— Dla pana nauczyciela.



Dobry lokator.

Właścicielka domu pyta swego lokatora, z zawodu powieściopisarza:

— Panie, kiedy mi pan wreszcie zapłaci komorne?

— Skoro tylko znajdę wydawcę, który da mi zaliczkę na książkę, którą napiszę, gdy tylko przyjdzie mi do głowy dobry pomysł.

* * *

Do sztabu dywizji, w pewnem miasteczku, w czasie bitwy, wpada ordynans z ważnym meldunkiem. Meldunek jest tak niewyraźnie napisany, że nikt nie może go odczytać. Jeden ze sztabowców rzuca więc myśl:

— Poślijmy meldunek do aptekarza najbliższej apteki. Przecież aptekarze umieją w lot odczytywać największe gryzmoły.

W chwilę potem ordynans meldunek doręczył w najbliższej aptece. Aptekarz rzucił okiem na podany mu papier i powiada:

— Proszę przyjść za pół godziny:

Po oznaczonym czasie ordynans wraca i... przed szefem sztabu stawia flaszeczkę z lekarstwem...

— Tylko pan aptekarz kazali coby przed użyciem zamieszać...



Odwaga.

Lekarz: — Powiedz pan swojej żonie, że głuchota jej nie jest organicznym błędem, ale wzmaga się u niej w miarę zbliżenia się starości.

Mąż: — Panie doktorze, bardzo pana proszę, powiedz jej to pan sam!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 20 kwietnia b. r.

Pszenica	61·00—62·00	Słoma długa	12·00—13·00
Żyto	54·00—55·00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies	45·00—46·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	48·00—49·00		
Łubin żóły	28·00—29·00	Otręby żytnie	33·50—34·00
Fasola biała	58·00—62·00	Mąka żytnia	78·00—79·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	94·00—95·00
Siano słodk.	19·00—21·00	Otręby pszen.	34·00—34·50
Konicz pastew.	24·00—26·00	Mąka czerw.	38·00—39·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.